

Srebrna zajęczyca i inne baśnie



GUIDO GOZZANO

Srebrna zajęczycyca i inne baśnie

TŁUM. JULIA GIERCZYK, MONIKA MACIEJEWSKA, KATARZYNA GÓRKA, JOANNA WAŃCZYK, JUSTYNA DZIK, ALEKSANDRA SIEMASZKO-SKIENDZIUL, JULIA DUBIŃSKA, ALEKSANDRA KOMAN, PAULINA KWAŚNIEWSKA-URBAN, MONIKA ADAMUS, IZABELA PELC, OLGA BALANA, NASTAZJA LEŚNIAK, MONIKA ŻUREK, BEATA BRYK, MAŁGORZATA ZYCH, ALEKSANDRA RUSZNIK, MARCIN WYREMBELSKI, EMILIA GÓRNIOCZEK, SARA DE GAETANO

WSTĘP

Guido Gozzano jest w historii literatury włoskiej znany przede wszystkim jako poeta. Niewielu zaś wie, że był także autorem baśni i opowiadań, napisanych w latach 1909–1914 z myślą o najmłodszych czytelnikach i opublikowanych najpierw na łamach czasopism „Corriere dei piccoli” [„Kurier dziecięcy”] i „Adolescenza” [„Młodość”]. Opierając się na europejskim schemacie baśni spod znaku braci Grimm czy Perraulta, Gozzano czerpie również z rodzimej, ludowej włoskiej tradycji. Wśród zawartych w tym wyborze opowieści znajdziemy między innymi historię o księżniczce Nazzarenie, uwięzionej w ciele tytułowej srebrnej zajęczycy; o niemożliwej miłości Pierwiosnka i księżniczki Śnieżynki; o zaczarowanej tańczącej, śpiewającej i grającej wodzie, która pomoże zdjąć urok z króla, ojca trzech pięknych księżniczek zamienionych w wieprze; o ślicznej sierotce Złotopiórci, która wyzwala z zaklęcia Ciężkołowia — młodego władcę Wysp Szczęśliwych; o królewiczcu Sansonetto, który zamiast starzeć się, młodnieje, przez co nie może poślubić pięknej księżniczki Biancabelli, wyrusza więc w podróż, by znaleźć sposób na zdjęcie rzuconego nań uroku; czy o śmiałym młodzieńcu Serdeczniku, który z pomocą swoich pięciu towarzyszy wyprawy — Prędkobiegacza, Wszystkójada, Wszystkopija, Tęgosłucha i Bystrooka — pokonuje liczne przeciwności, by otrzymać rękę księżniczki. Sześć spośród osiemnastu prezentowanych tu baśni zostało zilustrowanych przez Adama Kołakowskiego, a składające się na wybór przekłady są owocem projektu powstałego pod translatorską opieką Marcina Wyrembelskiego z udziałem studentek i wykładowców Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie i Uniwersytetu Florenckiego.



ŚNIEŻYNKA I PIERWIOSNEK

*W czasach, gdy ciężkie były trociny
a lekką wielką, kamienna bryła,
prawie jak włosów pukiel babciny,
wtedy właśnie była sobie, była...*

...była sobie księżniczka Śnieżynka, która mieszkała sama ze swoim ojcem, królem Stycznem.

Bardzo wysoko w górach, w krainie wiecznych śniegów, w miejscu obleczonym rażąco w oczy bielą i niedostępnym dla zwykłych śmiertelników, król Styczeń wytwarzał śnieg na podstawie sobie tylko znanej receptury. Śnieżynka lepiała z niego płatki w kształcie gwiazd i szarotek alpejskich, następnie zaś, gdy róg obfitości był już pełen, zgodnie z ojcowską

wskazówką rozsypywała biały puch na cztery strony świata. Śnieg otulał wówczas całą ziemię.

Śnieżynka była blada i przezroczysta, piękna niczym niegdysiejsze boginie; jej lekko platynowe włosy błyszczały blaskiem Gwiazdy Polarnej, jej twarz i dłonie perliły się jak kryształki wirującego jeszcze w powietrzu śniegu, jej oczy zaś mieniły się jasnym, chłodnym błękitem arktycznych lodowców.

Niekiedy Śnieżynka była smutna.

W czasie przeznaczonym na odpoczynek, gdy na bezchmurnym niebie zaczynały migotać gwiazdy, a ojciec Styczeń kończył pracę i mościł sobie posłanie w swojej puszystej brodzie, Śnieżynka opierała się o lodowe poręcze, chowała podbródek w dłoniach i rozmarzonym wzrokiem spoglądała daleko przed siebie.

Któregoś dnia spadła na jej dłonie ranna jaskółka lecąca przez góry do ciepłych krajów. Daremnie ręce Śnieżynki próbowały ją wskrzesić. Wstrząsana dreszczem agonii ptaszyna jęła majaczyć, rzewnie wspominając morze, kwiaty, palmy, wieczną wiosnę. Od tamtego dnia Śnieżynka marzyła o nieznanym lądach.

Pewnej nocy postanowiła wyruszyć ku przylądkiem. Przemknęła na paluszkach po puszystej brodzie ojca Styczenia, porzuciła skutą lodem i spowitą śniegiem krainę, skierowała się w stronę wiodącą przez dolinę drogi, aż w końcu znalazła się w gąszczu strzelistych jodeł. Gnomy zamieszkujące leśne ciemności przerwały swoje harce na widok przezroczystej księżniczki spowitej lśniąca poświatą, usiadły okrakiem na gałęziach, po czym rozbawione zaczęły się jej z zaciekawieniem przyglądać.

— Śnieżynko!

— Śnieżynko! Dokąd idziesz?

— Śnieżynko, zatańcz z nami!

— Śnieżynko, zostań z nami!

Zbiegły się też gromadnie figlarne duszki, które stanęły jej na drodze i nie zamierzały przepuścić; najpierw uczepiły się jej kostek u nóg, a potem oplotły stopy bluszczem i liśćmi paproci.

Śnieżynka uśmiechnęła się tylko, odporna na wszelkie przymilne gesty, sięgnęła do srebrnego rogu obfitości, po czym zaczęła rozsypywać wokół płatki śniegu, uwalniając się od małych towarzyszy zabawy. I niewzruszona szła dalej, śnieżnobiała, bezszelestna, zwiewna, niczym niegdysiejsze boginie.

W końcu Śnieżynka dotarła do doliny, a następnie znalazła się na szerokim gościńcu.

Powietrze łagodniało. W pewnym momencie poczuła, że robi jej się duszno, sięgnęła więc do rogu obfitości i obsypała śniegiem okolice, znów głęboko oddychając i czerpiąc siłę z mroźnego powietrza.

Ruszyła przed siebie, a jej wędrówka nie miała końca. Gdy znalazła się na rozdrożu, oniemiała z zachwytu. Miała oto przed sobą nieznaną dotąd krajobraz — nieskończoną połąkę błękitu, jakby drugie niebo rozłożone na ziemi, trzymane po bokach i rozkołysane przez niewidzialną parę rąk. Śnieżynka szła dalej oczarowana. Przyroda co rusz się zmieniała. Zawilce, goździki, mimozы, fiołki, rezedy, narcyzy, hiacynty, żonkile, jaśminy, tuberozy — w całej okolicy, od wzgórza aż po morze, wszystkie mury i ogrodzenia ustępowały nurtowi wezbranej rzeki płatków, spośród których gdzieniegdzie wyrastały pojedyncze domy i drzewa. Oliwki rozpościerały swą srebrną szatę, a smukłe palmy pięły się strzeliście ku niebu.

Śnieżynka przyglądała się z zachwytem nieznanym wcześniej cudom i zapomniała o próśbieniu śniegiem. Wówczas wracały duszności, sięgała więc po kolejną garść białego puchu i ośnieżała nim szczyty okolicy, powietrze zaś od razu się zmrażało, a dziewczyna znów mogła swobodnie oddychać. Przezroczysta księżniczka płynęła na śnieżnobiałej chmurze, a wszystkie kwiaty, drzewa oliwne i palmy spoglądały na nią oczarowane i trzęsły się z zimna.

Nagle Śnieżynce zastąpił drogę niezwyklej urody młodzieniec w zielono-fioletowym płaszczku, przesywając ją groźnym spojrzeniem:

— Kim jesteś?

— Jestem Śnieżynka, córka króla Styczenia.

— Czyżbyś nie wiedziała, że to nie jest królestwo twego ojca? Jestem Pierwiosnek, nie masz wstępu do mojej krainy. Wracaj na swój lodowiec, dla swojego i mojego dobra!

Śnieżynka spojrzała na niego tak błagalnym i słodkim wzrokiem, że Pierwiosnek aż się wzruszył.

— Pierwiosnku, przepuść mnie! Nie zabawię tu długo! Chciałabym dotknąć tego błękitno-zielono-czerwono-fioletowego śniegu, który zwiecie kwiatami, chciałabym zanurzyć dłonie w tym odwróconym niebie, które zwiecie morzem!

Pierwiosnek spojrział na nią z uśmiechem, po czym skinął głową.

— Chodźmy więc! Pokażę ci całe swoje królestwo.

Podkscytowani i szczęśliwi powędrowali razem, trzymając się za ręce i patrząc sobie w oczy. Z każdym krokiem Śnieżynki błękit nieba szarzał, a cudowne ogrody pokrywały się śnieżnobiałym puchem. Dotarli do wioski, której mieszkańcy świętowali i tańczyli pod obsypanymi kwieciami migdałowcami. Śnieżynka zapragnęła, by Pierwiosnek porwał ją do tańca, dołączyli więc do wirujących par. Rozbawiona gawieź nagle odsunęła się przesyta dreszczem, ucichły dźwięki muzyki, powietrze zrobiło się mroźne, a z poszarzałego nieba zaczął się sypać pachnący migdałami biały puch. Śnieżynka wraz z każdym kolejnym krokiem zostawiała na swej drodze kobierzec lodowatych płatków. Oboje musieli uciekać przed pomstującym tłumem. Gdy byli już dość daleko, odwrócili się za siebie i spostrzegli, że mieszkańcy wioski znów się bawią, a niebo stało się na powrót pogodne.

— Śnieżynko, zostań moją żoną!

— Twoi poddani nie chcieliby królowej, która rozsiewa mróz.

— Nieważne. Taka jest moja wola.

Beztróscy i szczęśliwi wędrowali dalej przed siebie, trzymając się za ręce i patrząc sobie w oczy. Jednak nagle Śnieżynka przystanęła, była jeszcze bledsza niż zwykle:

— Pierwiosnku, Pierwiosnku! Nie mam już więcej śniegu! — rzekła.

Na próżno szukała zmrożonego puchu na samym dnie rogu obfitości.

— Pierwiosnku, ja umieram! Proszę, zabierz mnie na krańce swego królestwa. Pierwiosnku, słabo mi!

Śnieżynka zgięła się wpół, opadała z sił. Pierwiosnek przytrzymał ją, wziął na ręce, a następnie ruszył czym prędzej w stronę doliny.

— Śnieżynko! Śnieżynko!

Dziewczyna nie odpowiadała. Była jeszcze bledsza. Jej twarz stawała się coraz bardziej przezroczysta, niczym tęczowa bańka, która lada moment ma się rozpląnąć w powietrzu.

— Śnieżynko! Odezwij się!

Pierwiosnek okrył Śnieżynkę swoim jedwabnym płaszczykiem, aby osłonić ją od skwaru słońca. Pędził dalej co sił, aż dotarł do doliny, by powierzyć dziewczynę Północnemu Wiatrowi.

Lecz kiedy uniósł płaszczyk, Śnieżynki już nie było. Pierwiosnek zbladł, dostał dreszczy, po czym przerażony zaczął rozglądać się po okolicy. „Gdzie ona się podziała? Czyżbym zgubił ją po drodze?” Zrozpaczony schował twarz w dłoniach, lecz po chwili się rozpogodził, albowiem po drugiej stronie doliny ujrzał Śnieżynkę, która machała doń z uśmiechem na pożegnanie.

Jej dawny nauczyciel i opiekun, Północny Wiatr, wiódł ją po pokrytych białym puchem ścieżkach w stronę krainy wiecznych śniegów, niedostępnego królestwa jej ojca, króla Stycznia.

Przekład — Julia Gierczyk i Monika Maciejewska

MAGICZNA ŚWIECZKA

*Gdy sześć czwartków liczył tydzień,
gdy czas chodził na złość w tył,*

*gdy miast lipca nastał grudzień,
był sobie, żył sobie, był...*

...był sobie pewien stary rolnik, który mieszkał w ubogiej chatce. Miał on chorowitego, kulawego i garbatego syna. Jakby tego było mało, chłopiec — o ironio! — miał na imię Szczęśliwiec. W wieku osiemnastu lat postanowił opuścić ojcowską chatkę i wybrać się w podróż po świecie w poszukiwaniu szczęścia. Wystrugał sobie nowe kule, pożegnał się z ojcem, który pobłogosławił syna, z trudem powstrzymując łzy, po czym wyruszył na wschód. Wędrował po górach i nizinach, cierpiał głód i pragnienie, wciąż nie tracąc nadziei na szczęście. Jednak nigdzie nie mógł go znaleźć.

Pewnego wieczoru zapuścił się na nieznaną ścieżkę wiodącą przez jodłowy las. Powoli zmierzchało, więc przyspieszył kroku, aby przed nastaniem nocy dotrzeć do jakiejś chatki, w której mógłby trochę odpocząć. Słyszał dobiegające z głębi lasu wycie wilków, krzyki nocnych ptaków i serce ze strachu biło mu jak szalone.

Nagle, pośród zarośli i między potężnymi pniami, dostrzegł w oddali migoczący blask. Choć kuśtykał z trudem, starał się jeszcze przyspieszyć. Dotarł w końcu do drewnianej chatki i cały zziębnięty zastukał do drzwi.

Kiedy drzwi się otworzyły, w świetle tłącego się w izbie kominka ujrzał malutką, przygarbioną, siwą i pomarszczoną staruszkę.

— Dobra kobieto, zgubiłem się. Dasz mi schronienie na dzisiejszą noc?

— Wejdz, drogi chłopcze.

Szczęśliwiec wszedł do ciepłej chatki.

— Podzielę się z tobą kolacją — rzekła staruszka. — Nie jest tego dużo, ale dla ciebie wystarczy.

— Jak dla mnie, to nawet za dużo, dobra kobieto.

Zasiedli do stołu.

Staruszka położyła na środku stołu talerz i małą miskę z jednym okruszkiem i dwoma ziarenkami ryżu. Szczęśliwiec patrzył na nią zdziwiony. „Wcale się nie myliła, mówiąc, że dla mnie wystarczy”.

Nagle kobiecina wykonała władczy ruch prawą ręką: okruszek rósł i pęczniał, po czym przemienił się najpierw we wróbla, potem w gołębia, dalej w kurczaka i w końcu w piezzonego indyka o apetycznie złocistym odcieniu. Rosnąć zaczęła także miska, przemieniając się nagle w elegancką wazę, z której dochodził przyjemny zapach zupy. Szczęśliwiec myślał, że to sen.

Rozkoszował się posiłkiem zdumiony, że dane mu jest poczuć w ustach smak magicznie stworzonych potraw. Jedząc, zerkał na tajemniczą gospodynię.

Po kolacji staruszka poprosiła Szczęśliwca, by usiadł przy wilkach kominkowych, tuż pod okapem kominka, a sama przycupnęła naprzeciw chłopca.

— Chłopcze, opowiedz mi swoją historię.

Szczęśliwiec opowiedział jej o swojej daremnej tułaczce w poszukiwaniu szczęścia.

— Pomóż mi, zapewne jesteś wszechmocną wróżką! — rzekł potem.

— Nie jestem wszechmocną wróżką, znam zaledwie kilka zaklęć... Powierzę ci jednak pewien sekret, o którym mało kto wie. Pokażę ci drogę, która prowadzi do zamku życzeń.

Następnego dnia o świcie staruszka odprowadziła Szczęśliwca przez las aż na rozdroże. Tam wskazała mu odpowiednią drogę:

— Musisz iść przez trzy dni i trzy noce. Pod żadnym pozorem nie wolno ci się odwracać, cokolwiek byś za swoimi plecami usłyszał. Od wieków nikt nie ośmielił się zgłębić tajemnicy skrywanej za tamtymi murami. Weź ten kamień i zastukaj nim w prowadzące do zamku wielkie wrota, które dzięki temu się otworzą. Przejdziesz przez podwórze, komnaty, sale i korytarze. W ostatniej komnacie znajdziesz śpiącego na stojąco staruszkę. W dłoni będzie trzymał zieloną świeczkę. To talizman, który musisz mu wykraść, i który spełni każde twoje życzenie. Ale strzeż się, bowiem w zamku roi się od podstępnych magicznych pułapek i diabelskich sidła. Wiedz jednak, że czarnoksiężnik, smoki i duchy zasypiają dokładnie w południe i budzą się o pierwszej. Musisz uciekać, zanim wybiję pierwsza, w przeciwnym razie bowiem przepadniesz na wieki...

Szczęśliwiec wziął więc kamień, podziękował staruszkę i udał się we wskazanym kierunku. Wieczorem usłyszał wołanie za plecami:

— Szczęśliwcu, Szczęśliwcu, Szczęśliwcu!

Odwrócił się, niepomny przestrogi staruszki. Nagle znalazł się w miejscu, z którego wyruszył.

„Cierpliwości. Zaczę od początku” — pomyślał.

Postanowił, że już się więcej nie odwróci, i ruszył przed siebie.

— Ratunku! Zabiją mnie! Młodzieńcze, pomocy! — usłyszał nagle za plecami.

Zdjęty litością odwrócił się i znalazł się w punkcie wyjścia. Wezbrała w nim złość, jednak po chwili uspokoił się i podjął wędrówkę.

Szedł dwa dni: drugiego dnia o zachodzie słońca usłyszał chrzęst oręża i odgłosy końskich kopyt. Odwrócił się przestraszony i... oto znów stał na rozdrożu dróg, skąd wyruszył.

To wszystko pułapki zastawiane przez czarnoksiężnika! Ale dam sobie radę.

Chłopiec zatkał sobie uszy słomą i znów spokojnie podjął wędrówkę, tym razem głuchy na zwodnicze nawoływania. Po trzech dniach dotarł do opuszczonego zamku. Poczekał, aż zegar wybije dwunastą, i zastukał kamieniem. Ogromne drewniane wrota, zdobione pięknymi płaskorzeźbami, otworzyły się na oścież.

Szczęśliwiec cofnął się przerażony. Jego oczom ukazało się podwórze pełne olbrzymich jaszczurów, ropuch, żmij i gigantycznych skorpionów. Jednakże wszystkie potwory spały, więc chłopiec zebrał się na odwagę i, wspierając się na kulach, przeszedł, omijając starannie obslizgłe grzbiety, ogony, skorupy i nieruchome macki. Szedł naprzód poprzez podwórza, komnaty, sale i korytarze, aż dotarł do pokoju pełnego srebrnych monet. Schylił się i napełnił nimi kieszenie. Doszedł do następnej sali, która z kolei pełna była złotych monet. Chłopiec schylił się, opróżnił kieszenie ze srebrnych monet i napełnił złotymi. W trzeciej sali znalazł stosy szlachetnych kamieni, wybrał z kieszeni złote monety i w ich miejsce włożył brylanty. Przeszedł przez kolejne podwórza i korytarze, po czym dotarł do ostatniej komnaty, przestronnej i ciemnej.

Sędziwy czarnoksiężnik o długiej, białej brodzie spał na stojąco. W dłoni trzymał zieloną świeczkę.

Szczęśliwiec przyglądał mu się zdumiony. Z podobnym zdumieniem wpatrywał się w tysiące osobliwości znajdujących się w tej diabelskiej pracowni. Nagle przypomniał sobie o upływie czasu. Zabrał czarnoksiężnikowi świeczkę, czym prędzej skierował się w stronę wyjścia i — zablądził w korytarzach. Lada chwila miała wybić pierwsza, musiał więc czym prędzej uciekać, bo inaczej spotkałby go koniec... Udało mu się w końcu odnaleźć salę pełną diamentów, komnaty ze złotymi i srebrnymi monetami, przeszedł przez podwórze uspionych bestii, minął ich obslizgłe grzbiety i ogony, aż dotarł do wielkich wrót, które zamknęły się z głuchym trzaskiem za jego plecami.

W tym momencie dało się słyszeć bicie zegara.

Za murami zamku rozległ się przerażający hałas: rechotanie, syczenie, chrapliwe i dzikie wrzaski. Strzegące zamku potwory właśnie zauważyły kradzież. Szczęśliwiec jednak był już bezpieczny.

Szybko zapalił świeczkę i powiedział:

— Niechaj zniknie mi garb, a nogi niechaj się wyprostują!

I tak też się stało. Wyrzucił kule, zgasił świeczkę, ponieważ spalała się bardzo szybko, po czym udał się do miasta. Dotarł tam w środku nocy, znalazł rozległe wzniesienie i wypowiedział życzenie: „Chcę mieć pałac piękniejszy od tego, w którym żyje król”.

O świcie zdumieni mieszkańcy miasta oglądali cudowny pałac, wieże, balkony, schody, wiszące ogrody, które rozkwitły w ciągu zaledwie jednej nocy. Szczęśliwiec stał na jednym z balkonów ubrany w piękne szaty.

Król był w istocie nikczemnym tyranem. Targany gniewem i zazdrością o nieznanego przybysza, wysłał doń paza z nakazem oddania mu pokłonu.

— Powiedźcie królowi, że nie pokłonię się przed nikim. Jeśli chce, niech sam do mnie przyjdzie.

Rozwścieczony wiadomością król rozkazał skrócić paza o głowę. Poprzysiągł również wieczną nienawiść do nieznanego przybysza.

Szczęśliwiec żył jak wielmożny pan, a otaczający go przepych — wyszukane szaty, wierzchowce i psy myśliwskie — przyćmiewał wspaniałość królewskiego dworu.

Wystarczyło, że zapalał na chwilę zieloną świeczkę, a spełniało się każde jego życzenie. Tymczasem za każdym razem, gdy ją zapalał, ta stawała się krótsza i krótsza. Szczęśliwiec coraz bardziej się niepokoił, nie wypowiadał już tylu życzeń, nie był szczęśliwy. Czuł, że czegoś mu brakuje, nie wiedział jednak czego.

Pewnego dnia, podczas konnej przejażdżki przez miasto, zobaczył na balkonie jedyną córkę króla. Zdawało mu się, że księżniczka słodko się do niego uśmiecha. Znajdowała się jednak pod czujnym okiem dam dworu, paziów oraz rycerzy.

Następnego dnia Szczęśliwiec znów przejeżdżał obok królewskich balkonów. Księżniczka, wciąż przebywająca w otoczeniu swoich dam dworu, po raz kolejny posłała mu delikatny uśmiech.

Młodzieniec zakochał się w niej bez pamięci. Pewnej księżycowej nocy stał oparty o balustradę na jednym ze swoich wiszących ogrodów, z których rozciągał się widok na całe miasto.

— Może świeczka spełniłaby również to życzenie...

Długo zastanawiał się, jak je wypowiedzieć.

— Świeczko, piękna świeczko, spraw, aby księżniczka stała się niewidzialna i aby w mgnieniu oka przeniosła się do mojego ogrodu.

Szczęśliwiec czekał, a serce biło mu jak oszalałe...

I oto nagle w ogrodzie pojawiła się królowna, była ubrana w białą tunikę i miała potargane włosy.

— Pomocy! Gdzie ja jestem? Kim ty jesteś?

Biedaczka nie mogła dojść do siebie, cała się jeszcze trzęsła po tym, jak jakaś dziwna siła zabrała ją z łóżka i niosła w powietrzu. Szczęśliwiec ukląkł przed księżniczką, całując rąbek jej tuniki.

— To ja jestem tym rycerzem, który codziennie przejeżdża pod twoim balkonem, królowno. Nie zrobiłem tego w złej wierze, chciałem tylko z tobą porozmawiać.

Szczęśliwiec wyznał królownie miłość i oznajmił, że chciałby stawić się przed obliczem króla i prosić go o jej rękę.

— Proszę, nie rób tego! Mój ojciec cię nienawidzi, ponieważ jesteś od niego silniejszy i bogatszy! Jeśli zjawilibyś się w zamku, niezwłocznie kazałby cię zabić.

Od tamtego wieczoru Szczęśliwiec bardzo często prznosił królownę Nazzarenę do swoich ogrodów.

A ona zjawiała się na wezwanie narzeczonego, niczym objawienie, już nie blada i przestraszona jak za pierwszym razem, lecz uśmiechnięta. Zakochani spacerowali pośród palm, wśród róż i jaśminu, patrzyli na pogrążone we śnie miasto. O świcie chłopiec wypowiadał życzenie, a zielona świeczka prznosiła królownę z powrotem do jej komnat. I po kilku chwilach dziewczyna znajdowała się w swoim alabastrowym łóżu. Niestety jedna zła służąca zauważyła, że Nazzarena znika nocami, i o wszystkim doniosła królowi.

— Jeśli to nieprawda, rozkażę cię powiesić — pogroził służącej surowy król.

— Wasza Wysokość, przekonasz się na własne oczy — odpowiedziała.

Następnego wieczora król ukrył się za zasłonami i przyglądał się śpiącej córce.

I oto o północy usłyszał dobiegający z oddali głos:

— Świeczko, piękna świeczko, przynieś mi Nazzarenę!

Nagle księżniczka stała się niewidzialna, a okno otworzyło się jak zaczarowane. Król wpadł we wściekłość.

A gdy o świcie Nazzarena na powrót spała w swoim łóżku, ojciec złapał ją za złote warkocze i zapytał:

— Gdzie byłaś, niewdzięcznico?

— Tutaj, w moim łóżku. Spałam całą noc, ojcze.

Król uspokoił się i powiedział:

— A więc to na pewno klątwa, o której sama nie wiesz. Już ja się tym zajmę.

Król zasięgnął rady u pewnego czarnoksiężnika, który rzekł mu tak:

— Jest tylko jeden sposób na rozwiązanie tej zagadki, Wasza Wysokość. Do szat królowny przyczep dziurawą sakiewkę z mąką, wtedy o świcie znajdziemy ślady jej wędrówki.

Służka pomogła królowi zawiesić dziurawą sakiewkę z mąką na nocnej koszuli królowej. O świcie natomiast władca zwołał zbrojnych, dobył miecza i ruszył po cienkich, białych śladach widocznych na drodze... aż dotarł do pałacu tajemniczego przybysza.

Wpadł z impetem do komnaty, w której spał Szczęśliwiec. Zanim młodzieniec zdążył poprosić o pomoc magiczną świeczkę, król polecił go związać, przenieść do zamku i wrzucić do lochu, gdzie miał oczekiwać na wyrok.

Król skazał chłopca na śmierć. W dniu wykonania wyroku wszyscy mieszkańcy królestwa zgromadzili się na głównym placu. Na balkonach zamku królewskiego stała rodzina królewska: król, królowa oraz błada i przerażona królowna.

Szczęśliwiec spokojnie wszedł na szafot.

Rzekł do niego kat:

— Zgodnie z panującym w królestwie obyczajem, możesz wypowiedzieć w obliczu Jego Królewskiej Mości swoje ostatnie życzenie.

— Chciałbym, aby przyniesiono mi małą, zieloną świeczkę, którą zostawiłem w komnacie. Znajdźcie ją w szkatułce z kości słoniowej. To droga mi pamiątka, chciałbym ją ucałować przed śmiercią.

— Zgadzam się — powiedział król.

Wówczas jeden z paziów na rozkaz króla przyniósł szkatułkę z kości słoniowej i wręczył ją Szczęśliwcowi, który na oczach zgromadzonych wyciągnął z niej zieloną świeczkę, zapalił ją i szeptem rzekł:

— Świeczko, piękna świeczko, niechaj wszyscy zebrani tu ludzie, wszyscy królewscy poddani, z wyjątkiem królowej, zapadną się pod ziemię aż po samą brodę!

I oto cały lud, świta, król i królowa w mgnieniu oka zapadli się pod ziemię.

Całe miasto — plac i wszystkie ulice — pokryło się głowami, które wytrzeszczały oczy i wołały o pomoc. Pośród niezliczonych, ciemnowłosych, jasnowłosych, łysych i siwych głów Szczęśliwiec dostrzegł zwieńczoną koroną i odwracającą się to w lewo, to w prawo głowę władcy, który żądał od swoich poddanych, by go odkopali. Jednakże w całym jego królestwie nie było nikogo, kto mógłby go uwolnić!

Szczęśliwiec wziął Nazzarenę pod rękę i podszedł do głowy króla.

— Królu, mam zaszczyt prosić cię o rękę królowej Nazzareny.

Władca spojrział na młodzieńca wściekłym wzrokiem i milczał.

— Jeżeli zamierzasz milczeć, jeszcze dzisiaj wyjadę z królowną i zostawię was i waszych poddanych przysypanych ziemią aż po samą brodę.

Król popatrzył na Szczęśliwca, dostrzegł w nim młodego i pięknego chłopca, pomyślał, że ten młodzieniec jest od niego silniejszy i bogatszy, byłby zatem jego godnym następcą.

— Wasza Wysokość, proszę o rękę twojej córki.

— Zgadzam się — westchnął król.

— Przyrzekasz?

— Przyrzekam.

Za sprawą magicznej świeczki Szczęśliwiec zwrócił wolność wszystkim poddanym. Jeszcze tego samego dnia, zamiast wykonać okrutną karę, wyprawiono huczne wesele.

Przekład — Katarzyna Górka

ŚWIĄTECZNY CUD

Dziś, gdy atmosfera chrześcijańskiego pokoju obleka całą ziemię, moja nękana zmęczeniem wyobraźnia nie wyczaruje magicznych opowieści, których bohaterami byłyby ogry, wróżki czy gnomy. Przytoczę wam za to baśń zasłyszaną niegdyś w święta Bożego Narodzenia od mojej drogiej nieboszczki gosposi, kiedy tak jak wy, moi mali przyjaciele, byłem jeszcze dzieckiem.

Wysłuchany w opowieść owej poczciwej staruszki spoglądałem przez okno na szare niebo i rozciągający się pod nim zimowy krajobraz, oczami wyobraźni wypatrując czerwonej szaty Pana Jezusa porzuconej na torach tramwajowych, oświetlonych ulicznymi latarniami.

W czasach, kiedy Jezus chodził jeszcze po naszej ziemi i przywdziewał różne szaty — wszystko po to, by zawstydzić grzeszników i wspomagać potrzebujących — żył sobie w pewnym miasteczku wieśniak, który po śmierci żony został sam z gromadką dzieci, zbyt małych jeszcze, by mogły same zarabiać na własne utrzymanie.

Nadeszła Wigilia Bożego Narodzenia i Fortunato — bo tak właśnie nazywał się nasz bohater — siedział strapiiony i pogrążony w myślach w progu swojego domu. Nie miał pieniędzy ani pracy, nie wiedział też, jak wyżywić swoje potomstwo.

Gdy słyszał dobiegające z wnętrza chaty wrzaski głodnych dzieci, zatykał uszy i opuszczał głowę aż na kolana, a serce mu się z bólu krajało.

— Nad czym tak rozmyślasz, dobry człowieku? Co cię trapi?

Fortunato ożywił się, podniósł głowę i zobaczył przed sobą nieznanego mężczyznę.

— Moje dzieci głodują, nie mam co włożyć do garnka. Jestem bez pracy, nie wiem, jak sobie poradzić!

— Jeśli chcesz, możesz pracować dla mnie, sowicie cię wynagrodzę.

— Czego mógłbym chcieć więcej, mój panie!

— A zatem jutro z samego rana pójdziesz na polanę i przytniesz wrzosa, a ja o zachodzie słońca przyniosę ci zapłatę.

— Panie, chyba zapomniałeś, że jutro jest Boże Narodzenie, najświętszy dzień w roku. Ale pojutrze z zapalem zabiorę się do pracy.

— Chyba się nie zrozumieliśmy... Coś mi się wydaje, że wcale nie jesteś tak ubogi, jak mówisz.

— Bóg mi świadkiem, że umieram z głodu!

— Zrób zatem, co mówię.

Wówczas Fortunato usłyszał dobiegające z wnętrza chaty błagalne jęki głodnych dzieci.

— Dobrze! Zrobię, co zechcesz, dla dobra moich dzieci. A Bóg z pewnością mi wybaczy!

— Idź zatem jutro na wrzosowisko, a o zachodzie słońca zjawię się z pieniędzmi.

I nieznamy zniknął.

Nazajutrz Fortunato zbudził się skoro świt, jak co dzień odmówił pacierz, zanurzył palce w wodzie święconej i starannie się przeżegnał. Przez chwilę trawiły go wątpliwości, aż w końcu wziął kosę i udał się na wrzosowisko.

Pracował przez cały dzień, a z miasteczka od czasu do czasu docierały niesione wiatrem dźwięki radosnej melodii wygrywanej przez kościelne dzwony.

— Dobry Bóg z pewnością mi wybaczy...

Pracował dalej niestrudzenie, ścięte gałązki kładł w jednym miejscu i po cichu się modlił.

Było to Boże Narodzenie bez śniegu, mroźne acz pogodne. Słońce chowało się już za horyzont i żegnało ogniste niebo, gdy Fortunato odłożył sierp, zmęczony usiadł na kamieniu i czekał. Po nieznanym jednak ani widu, ani słychu.

Fortunato zaczął się niepokoić, gdy oto nagle usłyszał dziwny trzask, a wkrótce potem dostrzegł w mroku jasną poświatę. Zerwał się na równe nogi, gdyż zauważył, że wiązki ściętego przez niego wrzosa skwierczały w ogniu. Na próżno próbował ugasić płomienie, w ciągu kilku sekund cała jego praca zamieniła się w popiół.

— Och! Co za nieszczęście! Pracowałem w pocie czoła i o pustym żołądku od świtu do nocy, zbezczeszcilem dzień święty i oto zostałem bez niczego, jeszcze uboższy niż przedtem.

— Nie smuć się, dobry człowieku! Nie smuć się!

Fortunato odwrócił się zaskoczony i ujrzał stojącego w cieniu człowieka, który spoglądał na niego przyjaźnie.

Biedaczyna powiedział mu o swoim nieszczęściu.

— Przyznaję, popełniłem błąd, zrobiłem to, bo moje dzieci umierają z głodu... Bardziej jednak niż głodem i próżnym wysiłkiem martwię się, że wykonaną dziś pracą zbezczeszcilem ten święty dzień...

Nieznamy ujął jego dłoń, przyjrzał mu się uważnie, po czym łagodnym tonem rzekł:

— Odrzuć swe smutki. Wynagrodzę ci twój trud. I to jeszcze szcudrzej. Idź do domu, a znajdziesz tam należną zapłatę. Zarobione pieniądze postaraj się wydać jak najlepiej. I niech twoja sakiewka i drzwi twojego domu nigdy nie zamykają się przed cudzym nieszczęściem.

Po tych słowach nieznajomy zniknął.

Fortunato nie dowierzał zbyt słyszonym obietnicom. Wszystko wydawało mu się zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Pełen obaw udał się czym prędzej do domu. Jednak to, co zobaczył z oddali, wprawiło go w osłupienie. Stał i przecierał oczy z niedowierzania. Myślał, że to sen.

Zamiast starej chaty zza drzew wyrastała piękna rezydencja, której okna były mocnym światłem pośród tej pogodnej nocy. Roześmiane dzieci wyczekiwały w drzwiach powrotu ojca. Kiedy Fortunato przestąpił próg, wzięły go za ręce i zaprowadziły do pokoju, w którym stał uginający się pod ciężarem jedzenia stół ze świąteczną wieczerzą.

Na jednej z wyścielanych adamaszkiem ścian wisiały motyka, widły i inne narzędzia niezbędne do pracy na roli, a między nimi drewniany krzyż, przed którym codziennie rano zwykł się modlić.

Fortunato padł na kolana, w niemym skupieniu dziękując Bogu za zesłany mu cud.

Od tego dnia jego życie całkowicie się zmieniło. Kupił okoliczne ziemie, a jego posiadłości nie dało się objąć wzrokiem. Wszyscy zachodzili w głowę, skąd ten nagły dobrobyt. Podejrzewali, że odkrył jakiś skarb.

Fortunato dotrzymywał obietnicy danej tajemniczemu nieznajomemu. Ktokolwiek bowiem potrzebujący zachodził do jego domu, otrzymywał wsparcie duchowe i pieniądze.

Z czasem jednak charakter pocziwego Fortunata zaczął się zmieniać. Jak to często bywa, bogactwo znieczuliło jego dobre serce. Szybko zapomniał o swojej przeszłości, zaczął otaczać się pochlebami i ludźmi możnymi, a sam stał się wyniosły i arogancki.

Dokładnie rok później, w dzień Bożego Narodzenia, Fortunato wyprawił wystawną ucztę, na którą zaprosił wszystkich szlachciców i bogaczy.

Z sali o ścianach wyścielonych błękitnym adamaszkiem usunięto wiszący tam krzyż i narzędzia rolnicze — niejako symbole wstydlivej przeszłości — i schowano je na strychu.

Fortunato rozkazał swoim sługom, by pod żadnym pozorem nie wpuszczali żebraków na dziedziniec jego rezydencji. Dwaj uzbrojeni w różgi lokaje pilnowali, by na przyjęcie nie dostali się nieproszeni goście. Tymczasem w chwili gdy biesiadnicy zasiedli do wieczerzy, na dziedzińcu pojawił się niespodziewanie jakiś stary żebrak.

— Czego tu szukasz, łachudro? Precz stąd! Wynocha! — krzyczeli słudzy, grożąc mu różgami.

— Wspomóżcie biednego starca w imię Boże! — powiedział żebrak błagalnym tonem.

— Nie dzisiaj. Przyjdź jutro.

Ten jednak nalegał, podnosząc głos tak, by usłyszeli go zgromadzeni na wieczerzy goście.

Fortunato usłyszał odgłosy zamieszania na dziedzińcu, po czym wściekły — wszak to biadolenie studziło radosne nastroje gości — wychylił się przez okno i krzyknął w kierunku sług:

— Powiedziałem wam wyraźnie, że nie chcę tu widzieć żadnych żebraków! Wynocha z nim, poszczujcie go psami!

Słudzy posłusznie spuścili z łańcucha duże psy, ale one jedynie polizały dłonie nieznajomego, który wolnym krokiem opuścił teren rezydencji.

Fortunato wrócił do biesiadników i dalej pił, śmiał się i żartował.

Wkrótce potem na dziedziniec pałacu zajechał piękny powóz zaprzęzony w cztery wspaniałe konie. W środku siedział obwieszony złotem i klejnotami książe.

Służący pobiegli uprzedzić Fortunata, goście wstali od stołu i wyjrżeli z zaciekawieniem przez wychodzące na dziedziniec okna.

Fortunato zszedł na dziedziniec, podszedł do karocy, zdjął kapelusz i uklonił się nisko przed księciem, prosząc go, by ten zaszczyił jego i zebranych swoją obecnością.

— Dziękuję za zaproszenie — odparł nieznajomy — jednakże nie wysiądę i nie wstąpię w twe progi. Dopiero co tu byłem jako żebrak i kazałeś mnie przepędzić, szczując psami. Teraz zaś, gdy przybywam jako bogacz — w karocy pełnej kosztowności i odziany

w książęce szaty — ty kłaniasz mi się do ziemi. Pojedź ze mną do miejsca, gdzie będziemy mogli chwilę porozmawiać o naszych sprawach...

Książę udał się wraz z Fortunatem na pobliską polanę, gdzie ten rok wcześniej przycinał wrzos.

— Fortunato, oj Fortunato! Tak łatwo zapomniałeś o naszym spotkaniu? Rok dostatniego życia wystarczył, byś z pobożnego człowieka zmienił się w nikczemnego pyszałka! Nagle bogactwo znieczuliło twoje serce. W takim razie niechaj bieda odrodzi w tobie troskliwego chrześcijanina!

Nieznajomy zniknął, a Fortunato udał się pośpiesznie do swojej rezydencji.

Ale rezydencji już nie było.

Śnieg padał i padał w ten smutny grudniowy wieczór. Za drzewami porastającymi obejście Fortunato ujrzał swoją starą, ubogą chatę, oświetloną wątłym blaskiem lampy oliwnej. Usłyszał po chwili krzyk swoich głodnych dzieci. Pałac, służba, złoto, biesiadnicy, sala o ścianach wyściełanych adamaszkim — wszystko to rozplynęło się jak po przebudzeniu ze snu.

W jego sercu znów zagościła czuła troska, wstąpił ponownie na drogę pobożności i ubóstwa.

Tak to było, gdy Jezus wędrował po świecie i odwiedzał ludzi, przebierając się w rozmaite szaty, by w ten sposób sprowadzić ich na dobrą drogę.

Przekład — Joanna Wańczyk



NIEWIADOMEK

Pewien książę, powracając z polowania, ujrzał w tumanach kurzu chłopca, mniej więcej ośmioletniego, który smacznie sobie spał na poboczu drogi. Książę zsiadł z konia i obudził malca:

- Co tu robisz, moje dziecko? — zapytał.
- Nie wiem — odpowiedział malec, śmiało spoglądając na księcia.
- Gdzie jest twój ojciec?
- Nie wiem.
- A twoja matka?
- Nie wiem.
- Skąd jesteś?
- Nie wiem.
- Jak masz na imię?
- Nie wiem.

Książę wziął chłopca na koń i pognął do zamku. Tam przekazał go pod opiekę służbie. Chłopcu nadano imię Niewiadomek.

Gdy Niewiadomek skończył dwadzieścia lat, został książęcym giermkim. Pewnego dnia podczas konnej przejażdżki przez miasto książę rzekł do młodzieńca:

— Jestem z ciebie bardzo zadowolony, i dlatego chciałbym ci podarować wspaniałego konia, wyłącznie na twój osobisty użytek.

I pojechali razem na targ. Niewiadomek długo oglądał dorodne konie, jednak żaden nie przypadł mu do gustu, odjechali więc bez niczego. W drodze powrotnej do zamku chłopak zauważył stojącą przed młynem starą, prawie ślepą klacz, która obracała kierat. Niewiadomek przyjrzał się uważnie zwierzęciu, po czym rzekł:

- Panie, oto rumak dla mnie!
- Chyba żartujesz?! — zdumiał się książę.
- Panie, uszczęśliwisz mnie, jeśli mi ją kupisz.

Książę, z początku zniesmaczony pomysłem, w końcu uległ prośbom chłopca i kupił klacz. Oddając ją w ręce Niewiadomka, młynarz szepnął mu do ucha:

— Widzisz te sploty na jej grzywie? Za każdym razem, gdy rozsypasz jeden z nich, koń przeniesie cię w gnieniu oka pięćset mil dalej.

Książę i Niewiadomek wrócili na zamek.

Kilka dni później książę otrzymał zaproszenie od samego króla. Zabrał ze sobą swojego giermka i przez kilka dni razem gościli na królewskim dworze. Pewnej nocy, gdy na niebie jaśniał księżyc w pełni, Niewiadomek wybrał się na spacer po parku. Podczas przechadzki ujrzał zawieszony na jednym z drzew lśniący w blasku księżycy diamentowy naszyjnik.

- Od dziś będziesz należeć do mnie! — wykrzyknął.
- Nie rób tego, bo pożałujesz! — rozległ się w pobliżu tajemniczy głos.

Niewiadomek rozejrzał się po okolicy. To jego klacz przemówiła ludzkim głosem. Wahał się przez chwilę, aż w końcu uległ pokusie i wziął naszyjnik.

Król powierzył Niewiadomkowi opiekę nad swoimi końmi. Nocą w czasie służby giermek oświetlał stajnię lśniącym naszyjnikiem. Pozostali stajenni, zazdrośni o względy, jakimi młodzieniec cieszył się u króla, odpowiedzieli, że w stajni lśni jakieś budzące podejrzenia światło i zasugerowali, jakoby Niewiadomek oddawał się czarnej magii. Król postanowił sam się o tym przekonać. Udał się pewnej nocy do stajni i zobaczył silne światło bijące od zawieszzonego na jednym ze żłobów naszyjnika. Nakazał aresztować Niewiadomka, a następnie zwołał stołeczną Radę Starszych w celu odczytania napisu widniejącego na zapince klejnotu. Jeden leciwy mędrzec odkrył, że naszyjnik jest własnością Zielonowłosej Piękności, najwynioślejszej księżniczki na świecie.

— Albo sprowadzisz mi tu Zielonowłosą Piękność, albo pożegnasz się z głową! — rzekł król.

Zrozpaczony Niewiadomek poszedł do stajni i płakał wtulony w lichą grzywę swojej klaczy.

— Wiem, co cię trapi — przemówiło wierne zwierzę. — To kara za to, że wówczas w parku zabrałeś ze sobą naszyjnik wbrew mej radzie. Ale głowa do góry, posłuchaj mnie uważnie: poproś króla o zapas owsa i dużo pieniędzy, a następnie szykuj się do drogi.

Król spełnił prośbę Niewiadomka, który wraz ze swoją wychudzoną klaczą wyruszył w podróż. W końcu dotarli nad morze. U brzegu szamotała się zaplątana w algi ryba.

— Uwolnij biedaczkę! — rzekła klacz.

Niewiadomek postąpił zgodnie z radą klaczy, a ryba wynurzyła się z wody i przemówiła ludzkim głosem:

— Uratowałeś mi życie, jestem twoją dłużniczką. Zawołaj mnie, gdy znajdziesz się w potrzebie, a natychmiast się zjawię.

Podczas swojej dalszej wędrówki Niewiadomek i klacz ujrzeli uwięzionego w siódlach ptaka.

— Uwolnij go! — rzekła klacz.

Niewiadomek ponownie postąpił zgodnie z jej radą, a wdzięczny ptak odezwał się w te słowa:

— Dziękuję, Niewiadomku. Jestem twoim dłużnikiem. Gdy znajdziesz się w potrzebie, wezwij mnie, a odwdziczę ci się.

W końcu dotarli do zamku Zielonowłosej Piękności.

— Ruszaj śmiało! — powiedziała klacz. — I niczego się nie obawiaj! Jeśli napotkasz księżniczkę, przyprowadź ją tutaj, wtedy wykonam dla niej cudowny taniec.

Niewiadomek zakolał do drzwi. W drzwiach ukazała się niezwyklej urody dama, którą Niewiadomek wziął za księżniczkę.

— Księżniczko...

— Nie jestem księżniczką — powiedziała dama, po czym zaprowadziła go do następnej komnaty, gdzie czekała na niego jeszcze piękniejsza kobieta.

Ta z kolei zaprowadziła go do innej piękności czekającej w sąsiedniej sali. W każdej kolejnej komnacie oczom Niewiadomka ukazywała się dama obdarzona jeszcze bardziej niezwyklej urodą. A wszystko po to, by oswoić młodzieńca z olśniewającym blaskiem Zielonowłosej Piękności.

Księżniczka uprzejmie powitała Niewiadomka. A następnego dnia zgodziła się obejrzyć taniec zwierzęcia.

— Księżniczko, jeśli dosiędziesz mojej klaczy, wtedy ta porwie cię do cudownego tańca.

Księżniczka, z początku niepewna, w końcu dosiadła klaczy.

A wtedy Niewiadomek doskoczył do klaczy, chwycił ją za grzywę, rozsypał jeden ze spleców i w mgnieniu oka wszyscy troje znaleźli się przed królewskim pałacem.

— Ty oszuście! — krzyknęła księżniczka. — Tak łatwo nie dam za wygraną. Zobaczysz, że zanim poślubię króla, dostaniesz jeszcze za swoje!

Niewiadomek uśmiechał się zadowolony.

— Królu, oto Zielonowłosa Piękność.

Zauroczony urodą księżniczki król chciał ją natychmiast poślubić.

Księżniczka zażądała jednak, by najpierw sprowadzono jej wysadzaną klejnotami złotą spinkę, którą zostawiła w garderobie swojego pałacu.

Król zlecił to zadanie Niewiadomkowi pod groźbą utraty życia. Jednakże po wprowadzeniu Zielonowłosej Piękności młodzieniec bał się wrócić do jej pałacu i smutnym wzrokiem prosił swą klacz o pomoc.

— Pamiętasz tego ptaszka, którego wyswobodziłeś z siódel? — odezwała się klacz. — Wezwij go, a on ci pomoże!

Ptak zjawił się na wezwanie.

— Nie martw się, Niewiadomku! Zdobędę dla ciebie spinkę księżniczki.

Zleciały się wezwane przez niego rozmaite ptaki. Lecz żaden z nich nie był na tyle smukły, żeby przecisnąć się przez dziurkę od klucza do komnaty księżniczki. W końcu podolał temu zadaniu strzyżyk, który stracił przy tym całe swoje upierzenie. Przekazał spinkę Niewiadomkowi, który z kolei błyskawicznie dostarczył ją księżniczce.

— Pani, nie masz już żadnego innego pretekstu do tego, by opóźnić zaślubiny — powiedział król.

— Mylisz się, mój panie, jest jedna rzecz, bez której nigdy nie zostanę twoją żoną.

— Twoje życzenie to dla mnie rozkaz!

— Brakuje mi pierścionka, tego, który wpadł mi do morza, gdy do ciebie jechałam.

Także tym razem król zlecił odnalezienie pierścionka Niewiadomkowi, który niezwłocznie wyruszył wraz ze swoją wierną klaczą w podróż. Gdy dotarł nad morze, wezwał na pomoc rybę:

— Głowa do góry, Niewiadomku, odnajdę dla ciebie ten pierścień.

Ryba niezwłocznie powiadomiła swoje towarzyszkę i wieść rozeszła się po całym morzu. Wkrótce odnalazły one pierścień w odnogach koralowca.

Księżniczka musiała zgodzić się na zaślubiny.

Nadszedł dzień wesela i huczny korowód ruszył w stronę katedry.

Niewiadomek i jego klacz szli w królewskim orszaku, a następnie razem weszli do świątyni, co oburzyło wszystkich gości.

Po zakończonej ceremonii klacz zrzuciła z siebie końską skórę i oczom zebranych ukazała się księżniczka przewyższająca urodą Zielonowłosą Piękność. Chwyła Niewiadomka za rękę i rzekła:

— Jestem córką króla Tartarii. Udaj się ze mną do krainy mego ojca, a zostanę twoją żoną.

Niewiadomek i księżniczka pożegnali zaskoczonych gości, po czym słuch po nich zaginął.

Przekład — Justyna Dzik

KRÓL ŚWINIOPAS

I

Pewien król miał trzy córki, piękne jak gwiazdy na niebie, a miłował je ponad wszystko na świecie.

Król był wdowcem i któregoś dnia ożenił się ponownie. W życiu trzech dziewcząt nastąpił wówczas bardzo smutny czas. Macocha była zazdrosna o bezgraniczne uczucie, jakim król darzył córki, i skrycie ich nienawidziła. Próbowała wszelakich sztuczek, by dziewczęta popadły w niełaskę u ojca, jednak widząc, że oszczędności, miast umniejszać, potęgowały jego miłość wobec córek, postanowiła zasięgnąć rady czarownicy.

— Można je uśmiercić — odpowiedziała wiedźma.

— Niemożliwe. Król zamordowałby także mnie.

— Można je trwale oszpecić.

— Nie ma mowy. Król by mnie zabił.

— Można by rzucić na nie jakiś czar.

— Czar, za sprawą którego ojciec znienawidzi je na zawsze.

Wiedźma długo się zastanawiała, po czym rzekła:

— Tak też się stanie, wasza wysokość. Ale musisz mi najpierw przynieść wyrwany przez ciebie własnoręcznie włos każdej z nich i wyrwane również własnoręcznie przez ciebie włosy ze szczeciny trzech świń.

Macocha wróciła do pałacu, a rankiem następnego dnia weszła uśmiechnięta do komnat trzech księżniczek, podczas gdy służki czesały ich faliste włosy.

— Córeczki moje — powiedziała czułym głosem — nauczę was nowej fryzury mojej własnej inwencji.

I zabrawszy grzebień z rąk dwórek, uczesała Doralice.

— Aua! Wyrzywa mi mama włosy!

Uczesała Lionellę.

— Aua! Wyrzywa mi mama włosy!

Uczesała Chiarettę.

— Aua! Wyrzywa mi mama włosy!

Pożegnała pasierbice i wyszła z trzema włosami owiniętymi wokół palca wskazującego. Minęła ogrody, podwórza, doszła do obejścia, weszła do chlewu i swoimi upierścienionymi palcami wyrwała po włosku ze szczeciny trzech chrząkających świń.

Następnie wróciła do wiedźmy.

Czarownica włożyła do alembiku trzy złociste włosy i trzy czarne strzępki włosów, dodała do nich wyciąg z tajemnych ziół, po czym wydestylowała z tego zielonkawę krople, które następnie zebrała do małej buteleczki.

— Proszę, niech wasza wysokość wleje to do kielicha króla w czasie obiadu. To zakłęcie zamiany, efekt będzie natychmiastowy.

Królowa zdjęła ze swej korony najpiękniejszy kamień, podarowała go wiedźmie i odeszła.

II

Do zamkowego stołu zasiedli: król, królowa, trzy księżniczki, pięćset dam i pięciuset rycerzy.

Królowa podstępnie wlała do królewskiego pucharu zaklęty eliksir i z niepokojem czekała, co się stanie. Król, ledwie zaczerpnął z kielicha, wytrzeszczył oczy, jakby ogarnięty jednocześnie gniewem i zdumieniem, po czym wstał i wskazał na córki:

— Co to za kpiny? Kto umieścił trzy świnie na miejscu moich córek? Żarty sobie stroiciele? Wynocha stąd! Wynocha, brudne wieprze!

I zerwawszy się na równe nogi, zaczął okładać swoje córki, popychać je i gonić przez sale, ogrody, podwórkę, aż do chlewu, gdzie je zamknął.

Z chlewu wyciągnął z kolei trzy tłuste świnie i począł je obejmować, wypowiadając na głos imiona swych córek, po czym zaprowadził je do pałacu i posadził przy stole na krzesłach trzech księżniczek.

— Chiaretto, Doralice, Lionello, biedaczki wy moje, kto wam uczynił taką zniewagę, że was tam zamknął?

I czule je całował.

Wszyscy siedzący przy stole dworzanie śmiali się.

Król zmarszczył brwi.

— Co was tak bawi?

Wtedy wstał jeden z rycerzy i rzekł:

— Niech wasza wysokość wybaczy, ale to są trzy świnie!

Wściekły król kazał go natychmiast wtrącić do lochu w podziemiach wieży.

I znów począł całować trzy chrząkające prosiaki.

Dworzanie nie przestawali się śmiać.

— Co was tak bawi?

Wstał drugi rycerz:

— Niech wasza wysokość wybaczy, ale Bóg mi świadkiem, to nie są trzy królowny, ale trzy świnie.

Król kazał go niezwłocznie ściąć za obrazę majestatu. Wtedy dworzanie przestali się śmiać.

Trzy wieprze ubrano w królewskie szaty i ozdobiono klejnotami, a obsługiwało im sto służek. Król chciał je zawsze mieć przy boku. Towarzyszył im na spacerach, przy stole, na dworze królewskim, w tańcach i na przyjęciach. A gdziekolwiek świnie przechodziły, damy i rycerze rozstępowali się, kłaniając się im do samej ziemi, jakby to były królewskie córki.

Jednak wszyscy tłumili w sobie śmiech, mrucząc pod nosem:

— Idzie oszalały król, idzie król świniopas!

III

Chiaretta, Lionella i Doralice spędzały swoje dni w chlewie, płacząc i wołając o litość. Król, który lubił osobiście doglądać swojego gospodarstwa, przechodził czasem z królową obok chlewu. Wtedy córki, zanosząc się błagalnym szlochem, wyciągały ręce w stronę ojca i wołały:

— Ojcze! Ojcze drogi, nie rozpoznajesz nas? Jesteśmy twoimi córkami! Czym ci zawiniłyśmy? Za co się na nas mścisz? Uwolnij nas, na litość boską!

Król spoglądał na nie rozkojarzony przez ogrodzenie chlewu i mówił do królowej:

— To dziwne, jak te trzy wieprze żałośnie chrząkają i wyciągają do mnie racice.

Niespokojna królowa chciała pozbyć się raz na zawsze pasierbic.

— Spójrz tylko, jakie one są już dorodne i różowiutkie. Według mnie nadają się do zjedzenia...

— Dobry pomysł! — odpowiedział król. — Jeszcze dziś rozkażę je ubić.
Trzy królewny padły nieprzytomne na ziemię.

IV

Odzyskały przytomność na widok błysku ogromnych noży. Każdą z nich przywiązano za kończyny do grubych kijów, a następnie sześciu rzeźników chwyciło kije z obu stron i skierowało się do ubojni.

Po drodze trzy siostry błagały o litość swoich oprawców.

— Taki jest rozkaz króla!

Te płakały zrozpaczone.

— Królewski rozkaz! Gdyby władca dowiedział się, że wypowiedzieliśmy mu posłuszeństwo, kazałby również nam poderżnąć gardło.

Ale dziewczęta tak zawodziły i błagały, że sześciu oprawców w końcu się nad nimi zlitowało.

— Ale musicie obiecać, że nigdy nie wrócicie do królestwa.

Trzy siostry złożyły obietnicę.

Wówczas wieśniacy zawiedli je do granic królestwa, uwolnili z więzów i pozostawili własnemu losowi.

V

Księżniczki znalazły się w obcym kraju, zupełnie same i bez niczego. Musiały ciężko pracować, żeby zarobić na chleb. Na swoje szczęście już w dzieciństwie nauczyły się każdego kobiecego zajęcia. Potrafiły doskonale szyć i haftować.

Ze względu na tajemniczą urodę trzech hafciarek po mieście zaczęły krążyć dziwne pogłoski. Dziewczęta żyły sobie jednak spokojnie i pracowały w małym skromnym domku, od czasu do czasu wspominając tęsknie ojcowskie uczucie i utracone królestwo.

Lionella sprzątała ze stołu i mówiła:

— O tej porze zwykle stroiliśmy się na bal.

Doralice zmywała naczynia i mówiła:

— O tej porze dwórki szykowały nam kąpiel w wodzie różanej.

Chiaretta zamiatała i mówiła:

— O tej porze chodziło się z białozorem na polowanie na czaple.

I cichutko wdychały.

Często pukał do ich drzwi stary, siwobrody żebrak, a siostry za każdym razem częstowały go miską zupy.

— Dziękuję wam, dziewczęta! Cóż za dłonie, godne księżniczek!

— Jesteśmy księżniczkami.

Pewnego wieczoru, usiadłszy ze starcem na ławce przed domem, zwierzyły mu się ze swojej historii. Starzec słuchał i gładził sobie brodę.

— Biedne dziewczęta! Nie pierwszy raz słyszę o tym zaklęciu. Król, wasz ojciec, wypił miksturę zamiany.

Po czym wyciągnął z chlebaka pomietą książeczkę z pergaminu i począł z uwagą przewracać strony. Znalazł ją wiele lat temu w jaskini górskiej, przy szkielecie jakiegoś pustelnika.

— Istnieje pewien niezawodny środek przeciwko zaklęciu zamiany. Jest to woda, która tańczy, gra i śpiewa. Tylko nikt nie wie, gdzie ona się znajduje.

Przez wiele dni siostry rozmyślały nad słowami starca. Aż pewnego wieczoru Lionella oznajmiła:

— Siostry moje. Ja jestem pierworodną. Zdecydowałam się wziąć w swoje ręce los nas wszystkich. Wybiorę się na poszukiwanie cudownej wody.

Uściskała płaczące siostry i o brzasku wyruszyła w drogę.

Mijały dni, tygodnie i miesiące, a Lionella nie wracała.

Upłynął rok, miesiąc i dzień, kiedy Doralice rzekła do Chiaretty:

— Siostró, ja urodziłam się jako druga. A zatem teraz kolej na mnie. Jutro udam się w drogę.

O świcie uściskała siostrę i ruszyła przed siebie.

Chiaretta została sama w małej opustoszałej chatce. A czas upływał...

Minął rok, miesiąc i dzień, kiedy Chiaretta postanowiła przedsięwziąć wyprawę.

Wędrowała i wędrowała...

Przemierzała rzeki i lasy, góry i równiny, zebrząc w domostwach o kawałek chleba.

Stojące w progu gospodynie przyglądały się ze zdziwieniem pięknej młodej żebraczce.

— Dobre kobiety, czy wiecie, gdzie znajdę wodę, która tańczy, gra i śpiewa?

Lecz one wzszały ramionami. Żadna nie wiedziała.

I Chiaretta, niepocieszona, szła dalej przed siebie. Pewnego wieczoru zasnęła wśród suchych liści pod kasztanowcem. O świcie poczuła, że coś ciągnie ją za kosmyk włosów na skroni. Odwróciła się i zobaczyła jaszczurkę o dwóch ogonach zaplątaną w jej złociste loki.

— Spędziłam noc w twoich włosach i teraz jestem twoim zakładnikiem. Uwolnij mnie, a ja ci się odwdzięczę!

Chiaretta uwolniła łapki zwierzątka z delikatnych więzów.

Jaszczurka dała jej za to jeden ze swoich dwóch ogonów.

— Strzeż go jak oka w głowie. Odpowie na każde twoje pytanie.

Chiaretta długo zastanawiała się nad kikutkiem wijącym się na jej otwartej dłoni.

— Ogonie, ogonku, powiedz mi, gdzie jest woda, która gra, tańczy i śpiewa?

W tym momencie ogonek obrócił się na jej dłoni i niczym igła kompasu wskazał jakiś punkt na horyzoncie.

Chiaretta obrała ten właśnie kierunek.

Wędrowała i wędrowała, aż dotarła do odległej krainy leżącej pomiędzy straszliwymi urwiskami. Nagle poczuła, że ogonek miota się w jej kieszeni, jak gdyby chciał ją przed czymś ostrzec. Zapytała napotkaną staruszkę o czarodziejską wodę.

— Tak, tutaj znajduje się jej źródło. Ale strzeże go pewien czarnoksiężnik, który mieszka w tym oto zamku na szczycie. Często przybywają tu damy i rycerze, wchodzą do ogrodu o siedmiu bramach, ale jeszcze nikt stąd nie wrócił.

Odważna Chiaretta weszła do zakłętego ogrodu, w jednej dłoni ściskając pusty flakonik, w drugiej zaś cudowny ogonek. Ogród okazał się być labiryntem o tysiącu zawitych ścieżek, wystarczył jeden krok, żeby się w nim zgubić.

Ale Chiaretta podążała za każdym ruchem wijącego się na jej dłoni ogonka. Skręcała to w jedną, to w drugą stronę, w końcu o zachodzie słońca dotarła na rozległą nizinę, pośrodku której stała ogromna muszla z cudowną wodą.

Dookoła tego źródła, jak okiem sięgnąć, roilo się od niezliczonych rzeźb ze śnieżno-białego marmuru.

Chiaretta już miała napełnić ampulkę, kiedy poczuła, jak w drugiej dłoni ogonek zaczął się rozpaczliwie wić. Kikucik ułożył się najpierw w literę N, potem w I, następnie w E, po czym przemówił ludzkim głosem:

— Nie dotykaj zakłętej wody! Kto jej dotknie, zamienia się w marmur.

Chiaretta zawiesiła zatem flakonik na sznureczku, zanurzyła go w wodzie i wyciągnęła napełniony, po czym zatkała go korkiem i włożyła do kieszeni. Zamierzała już wracać, kiedy pośród rzeźb rozpoznała swoją siostrę Doralice. Spojrzała na figurę obok — była to Lionella. Z płaczem poczęła obejmować zimny marmur.

— Ogonie, ogonku, przywróć do życia moje siostry.

Zbliżyła kikucik do figur, a te natychmiast ożyły.

Trzy księżniczki wyruszyły z powrotem do królestwa ojca.

VI

Po dotarciu na miejsce dla niepoznaki — wszak macocha była przekonana o ich śmierci — przebrały się za pielgrzymów. I tak każda z nich, z twarzą zakrytą gęstą woalką, z muszlami i amuletami na piersi, stały się w pałacu.

Król przyjął je w sali tronowej. Obok niego siedziały macocha oraz trzy świnię uzurparki, przyodziane w drogocenne sukna, wystrojone w złoto i klejnoty.

— Najjaśniejszy panie! Jesteśmy pątniczkami wracającymi z Ziemi Świętej. Z kraju wielkiego sultana sprowadziłyśmy cudowną wodę, którą chcemy ofiarować waszej wysokości.

Po czym Chiaretta wyciągnęła fiolkę, odkorkowała ją i postawiła u stóp tronu.

Natychmiast wyskoczyła z niej zaczarowana woda, ukloniła się i poczęła wstępować na kolejne stopnie prowadzące do tronu, tańcząc i śpiewając do dźwięków egzotycznej pieśni. Opowiadała ona o trzech księżniczках prześladowanych przez swoją macochę i przez pewnego króla, który postradał zmysły za sprawą złowrogiego eliksiru. Opowiadała całą smutną historię trzech dziewcząt.

Macocha próbowała schwytać i rozprawić się z tańczącą i śpiewającą wodą donosicielką, lecz zaledwie jej dotknęła, zamieniła się w marmur.

Królowi jakby spadła zasłona z oczu. Ujrzał trzy odrażające świny zasiadające na krzesłach wygnanych córek, po czym wstał i uściskał trzy pątniczki, które odkryły swoje twarze.

Dwór wznosił okrzyki na cześć ozdrowiałego króla oraz trzech przywróconych do życia księżniczek.

Księżniczki chciały wskresić skamieniałą królową, szukały więc jaszczurczego ogona, ale ogon przepadł bez śladu.

Marmurową macochę o gniewnym wyrazie twarzy i wyciągniętych do przodu rękach ustawiono w pałacowym atrium. Tu pozostała na wieki jako pomnik nikczemności.

Przekład — Aleksandra Siemaszko-Skiendziul

KORONA KRÓLA

*Gdy zębami straszyły ropuchy
a śnieg, miast bielą, czernią lśnił...
słuchajcie uważnie, maluchy:
gdy zębami straszyły ropuchy,
żył wtedy, był wtedy, był...*

...był sobie król, który miał trzech synów. Pewnego dnia wyruszył w dalekie kraje na wojnę i zwyciężył. Powróciwszy na zamek zauważył, że w ogniu bitwy zgubił swą drogocenną, wysadzaną klejnotami i egzotycznymi perłami koronę. Pomimo zwycięstwa król popadł w głęboki smutek, koronę tę bowiem przekazywali sobie z rąk do rąk jego przodkowie już od pięćdziesięciu pokoleń.

Powiedział więc król do swych trzech synów, Erazma, Hipolita i Jacentego:

— Synowie, zgubiłem koronę. Na próżno kazałem jej szukać moim podwładnym. Może dla was los będzie łaskawszy. Szukajcie jej, a ja zrzeknę się tronu na rzecz tego, który pierwszy mi ją przyniesie.

Trzech młodzieńców wyruszyło więc w świat w poszukiwaniu szczęścia. Kiedy dotarli do ogromnego lasu, Erazm i Hipolit postanowili odłączyć się od najmłodszego Jacentego:

— Jacenty zawsze miał więcej szczęścia od nas, najpewniej jako pierwszy znajdzie koronę, a przecież to śmieszne, żeby taki młodzik zasiadał na tronie!

— Zostawmy go w lesie, zgubi się i nie odnajdzie drogi powrotnej.

I jak powiedzieli, tak też postąpili. Kiedy nastał zmierzch, a chłopiec zorientował się, że został w lesie sam, zaczął nawoływać swoich braci. Wkrótce jednak opadł z sił, położył się pod ogromnym drzewem i zasnął.

O poranku zbudził go cichy szelest. Ujrzał przed sobą poczciwego starca o śnieżnobiałej brodzie i ciepłym spojrzeniu. Był to pustelnik.

Jacenty opowiedział mu, co się wydarzyło.

— Nie martw się, chłopcze — powiedział mężczyzna. — Jestem tu po to, żeby ci pomóc.

Zaprowadził chłopca do swej chatki, nakarmił go i dał mu cedrową gałązkę.

— Jeśli nie będziesz znał drogi, rzuć wtedy tę gałązkę na ziemię, a ona wskaże ci właściwy kierunek.

Jacenty podziękował pustelnikowi i wyruszył przed siebie. Kiedy po dwóch dniach wędrówki mały książę dotarł do miejsca bitwy, jego oczom ukazał się przerażający widok: na rozległej nizinie wszędzie były ślady niedawnej rzezi, trup ścielił się gęsto aż po horyzont. Poprzysiął sobie wtedy w duszy, że wraz z objęciem tronu nigdy więcej nie dopuści do żadnej wojny.

Gdy już ochłonął, przypomniał sobie o celu swej podróży. Rzucił cedrową gałązkę pod nogi, a ona obróciła się i, drgając jak igła kompasu, wskazała wznoszące się po drugiej stronie rozległej niziny wzgórze.

Jacenty ruszył przed siebie, stąpając po zbrojach rycerzy i końskich truchłach, aż dotarł do ciemnej doliny. Magiczna gałązka wskazała mu krzew żarnowca. Kawalek dalej Jacenty spostrzegł ciało wojownika, który najpierw skradł królewską koronę, a potem doczołgał się z nią aż tutaj, i w końcu, znacznie osłabiony odniesionymi ranami, wykrwawił się na śmierć. W zeszywniałych palcach wciąż mocno trzymał drogocenną koronę.

Jacenty wyrwał ją z rąk trupa i niezwłocznie opuścił pobojuwisko.

Po drodze uśmiechał się na myśl o radości, jaką sprawi swojemu ojcu. W całym tym pośpiechu zapomniał zabrać swojej magicznej różdżki. Jednakże gdy zdał sobie z tego sprawę, było już za późno na powrót, zaczynało bowiem zmierzchać. Szedł dalej przed siebie, niepewny jednak swej drogi, aż w końcu nastąpiła ciemna noc. Znalazł więc postanie w stercie liści i zasnął.

O świcie zbudził go radosny śpiew ptaków, które podskakiwały mu przed oczyma, otrząsając z rosy swoje piórka. Jacenty zaś otrząsnął z rosy swoje odzienie, po czym zawrócił w kierunku pobojuwiska.

W pewnym momencie usłyszał za plecami głosy swoich braci. Widząc, że chłopak jest cały i zdrowy, a w dodatku posiada przedmiot, którego oni długo i bezowocnie szukali, wpadli w srogi gniew i umyślili bardzo nikczemny plan. Naradzili się, spojrzeli po sobie porozumiewawczo, a gdy Jacenty zaczął uskarżać się na pragnienie, dali mu bukłak z winem, do którego wcześniej dosypali silny środek nasenny. Po kilku krokach Jacenty zaczął się chwiać, po czym osunął się na ziemię i zapadł w sen. Żli bracia położyli go w szczelinie skały i zakryli ją głazem.

— Już nigdy więcej się nie obudzi! — rzekli szyderczo, po czym wzięli koronę i udali się w drogę powrotną na zamek, gdzie powitał ich uradowany ojciec.

Widząc jednak, że Jacenty nie wraca, wyraźnie spochmurniał, zaniepokojony, że jego ukochanemu synowi przytrafiło się po drodze jakieś nieszczęście.

— Gdzie go zostawiliście?

— Pojechał w swoją stronę i nie wiemy, co się z nim dalej stało.

Król nakazał swoim podwładnym szukać go po całym królestwie, lecz poszukiwania okazały się bezskuteczne, uznano więc, że biedaczek padł ofiarą dzikiej zwierzyny.

Król był zrozpaczony.

Minął rok, ale czas nie przynosił ulgi w bólu.

Pewnego dnia król wybrał się ze swoimi synami na wędrówkę po lesie. Nagle znaleźli się w tym samym miejscu, w którym bracia dopuścili się swej zbrodni. Władca zobaczył grającego na flecie pastuszka. Z instrumentu płynęła cichutka muzyka i takie oto słowa:

Zatrzymaj rumaka, mój królu,
posłuchaj, zejdź z drogi obranej,
gdyż śpiewa we mnie pełen bólu
głos duszyczki tu pochowanej.

To mnie, królewskiego syna,
zdradzono dnia pewnego:
jednak nie powiem dłaczego,
nie szepnę, czyja to wina.

Choć śpię tu od ponad roku,
znajdziesz mnie wciąż żywego,
gram sobie, śpiewam i czekam
przebudzenia ze snu kamiennego.

Król zatrzymał konia i zbliżył się do pastuszka. Zdumiał się jeszcze bardziej, gdy spostrzegł, że to flet jego utraconego syna.

— Gdzie to znalazłeś?

— U stóp tego dębu — odpowiedział pastuszek, po czym wskazał na skałę, w szczelinie której leżał Jacenty.

Dwaj bracia spojrzeli na siebie i zbledli.

Zaciekawiony król podszedł do skały i odsunął głaz zasłaniający szczelinę.

Wszyscy wielce się ucieszyli i zdumieli, gdy ich oczom ukazała się łagodna i spokojna twarz Jacentego.

Na miejsce przybył w międzyczasie również szacowny pustelnik.

Król wziął syna w ramiona, po czym powierzył go opiece pustelnika i błagał o cud.

— Nie potrzeba tu żadnego cudu — odrzekł pustelnik. Po prostu niebiosy chciały go zachować przy życiu w tym grobie, żeby mógł jeszcze głośno wykrzyknąć całą prawdę.

Jacenty przebudził się w ramionach ojca.

— Jaką prawdę chciałbyś wykrzyknąć?

— Żadną, ojcze! Najważniejsze, że przebudziłem się z tego nieszczęsnego snu. Nie wracajmy już do tego.

Bracia schylili w pokorze głowy, trawieni wyrzutami sumienia i wzruszeni okazanym przebaczeniem, a król raz jeszcze przytulił swego ukochanego syna.

Przekład — Julia Dubińska



SREBRNA ZAJĘCZYCA

*Gdy dobra wróżka we własnej osobie
przyrządziła swe zaklęcia rozważnie,
(posłuchajcie mnie wszyscy uważnie)
to właśnie wtedy był sobie...*

...książę, którego nazywano Aquilino. Ten dwudziestoletni młodzieniec zapragnął poślubić najpiękniejszą księżniczkę na świecie. Polecił więc obwieścić wszem i wobec o zamiarze ożenku. Wkrótce komnaty pałacu zapełniły się przysłanymi zewsząd portretami pięknych kandydatek, uśmiechających się z oprawionych w złote ramy obrazów, pośród których książę spędzał długie godziny, zastanawiając się nad wyborem oblubienicy.

Wybranką została Nazzarena, księżniczka Bikarii. Ambasadorowie obu królestw uzgodnili między sobą niezbędne szczegóły uroczystości.

W pałacu Aquilina wszystko było już gotowe do ceremonii. O świcie w dniu zaślubin książę udał się na najwyższą wieżę, z której wypatrywał swojej narzeczonej. Już niebawem miał nadjechać orszak i książę spodziewał się zobaczyć wymarzoną piękność.

Tymczasem żadnego orszaku nie było widać.

Po pewnym czasie nadjechała zaledwie jedna karoca, z której wyszedł brodaty, zgarbiony starzec.

— Jestem królem Bikarii. A oto moja córka Nazzarena, którą chcesz pojąć za żonę. Aquilino nie krył rozczarowania.

Księżniczka była bladą i pomarszczoną karlicą, zupełnie niepodobną do piękności z obrazu.

Widząc zakłopotanie księcia, starzec rzekł:

— To wszystko przez nadmierne emocje i trudy podróży. Wystarczy trochę odpoczynku, a odzyska swoją urodę.

Aquilino chciał odwołać ślub, lecz dał przecież swoje słowo, a zatem należało go dotrzymać.

Polecił natomiast przełożyć ceremonię zaślubin o dwa dni, a starca i jego córkę ugościł w pałacu.

O świcie następnego dnia, chcąc poprawić sobie humor i otrząsnąć się z rozczarowania, wybrał się na samotne polowanie, na które zabrał swoją złotą, zdobioną klejnotami dubeltówkę. Po długiej, wiodącej przez pola i łąki wędrówce dotarł do tysiącletniego lasu.

Na swojej drodze napotkał srebrnego zająca, który skubał trawę i uparcie wpatrywał się w księcia wcale niespłoszony jego obecnością.

Książę wycelował w zwierzę i wystrzelił. Dym opadł, a zając jakby nigdy nic skubał sobie dalej trawę w tym samym miejscu.

Książę podszedł jeszcze bliżej. Zając czmychnął. Przycupnął kawałek dalej, po czym znów zaczął wpatrywać się w księcia swoim spokojnym, ludzkim wzrokiem. Aquilino oddał kolejny strzał. Dym rozwił się w powietrzu, zając zaś, nastroszywszy jedno ucho, a drugie spuściwszy, siedział sobie na tylnych łapach jakby nigdy nic i wpatrywał się błagalnym wzrokiem w księcia, poruszając pyszczkiem. Ledwie jednak książę rzucił na ziemię broń i spróbował się zbliżyć, zwierzę odskoczyło i schowało się pośród rosnącego nieopodal sosnowego zagajnika. Aquilino nie bardzo wiedział, co począć.

To zapewne czary.

Oparł się o pień potężnego drzewa, rozmyślając o słodkim spojrzeniu swojej nieśmiertelnej ofiary. Nagle zdało mu się, że słyszy gdzieś za sobą, jakby we wnętrzu owego pnia, dobiegające z oddali głosy i dźwięki muzyki. Odwrócił się, obszedł drzewo — i nic. Ponownie więc oparł się o pień, a wtedy znowu usłyszał głosy i dźwięki muzyki.

Zniecierpliwiony uderzył pięścią w korę drzewa.

Rozległo się skrzypienie i otworzyły się dwuskrzydłowe drzwi, a oczom przerażonego księcia ukazały się lśniące schody. Zdumiony Aquilino postąpił kilka kroków do góry, gdy wtem usłyszał zatraskujące się za nim drzwi. Pałac był ogromny. Schody, westybule, korytarze, loggie i komnaty ciągnęły się w nieskończoność. A we wszystkich marmury, porfir, jaspis i bez liku klejnotów. Rozpływający się w zachwycie Aquilino szedł dalej.

Noc była już blisko, a w zaczarowanym pałacu żywej duszy. Za wyjątkiem idącej przed Aquilinem pary rąk, z których jedna trzymała kaganek, druga zaś dawała mu znak, by za nią podążał. W końcu dotarli do przestronnej jadalni. Aquilino usiadł przy stole, a ręce zaczęły podawać rozmaite dania i wyborne wina.

Książę przypatrywał się tym samoistnym, latającym rękóm i starał się je schwytać, gdy tylko były w pobliżu, jednakże te kładły błyskawicznie potrawy na stole, wymykając się zwinnie niczym motyle. Po posiłku księciem owładnęła senność, więc wstał od stołu i udał się na spoczynek. Wówczas ręce zaprowadziły go do pokoju wyścielonego szkarłatnym adamaszkiem, a następnie wykonały gest pożegnania i zniknęły.

Książę wsunął się pod eleganckie prześcieradła i zasnął. Śniła mu się księżniczka Nazzarena, lecz nie ta, którą przywiózł mu brodaty garbus, tylko jego piękna, jasnowłosa wybranka z obrazu.

Nagle obudził go potworny hałas. Książę uniósł lekko powieki, w oświetlonej komnacie rozgrywała się osobliwa scena: oto liczne pary rąk, takie same jak te podające wieczorem do stołu, śmigły po komnacie, splatały się ze sobą i pokazywały w jego kierunku.

— To w co gramy?

— W piłkę.

— Gramy z tamtym, co śpi?

— Kto śpi?

— O tam, w łóżku, nie widzicie go?

Spod uchylonych powiek książę zobaczył zbliżające się ku niemu ręce. Złapały ze wszystkich stron za prześcieradło, naprężyły je mocno, po czym zaczęły podrzucać księcia, chichocząc się przy tym ochryple i mocno piszcząc.

Książę udawał, że śpi.

— Nie chce się obudzić!

— Obudzimy go! Obudzimy!

I z jeszcze większą zajadłością zabrały się do swojej okrutnej zabawy.

Kogut zapiał po raz pierwszy, a ręce rzuciły księcia na łóżko i zniknęły.

Gdy Aquilino tak leżał obolały, w pewnym momencie usłyszał jakiś szelest, a chwilę później zobaczył obok łóżka srebrnego zająca. Tyle że zamiast czterech łap, zwierzę miało gładkie nogi i ręce kobiety.

— Książę Aquilinie, to ja, księżniczka Nazzarena, wybranka twego serca. Gdy wraz z moim orszakiem przejeżdżałam przez las, pewien czarodziej przemienił mnie w zająca i uwięził w tym zamku z całą moją świtą. Wyzwolisz mnie z zaklęcia, jeżeli spędzisz tutaj trzy noce podobne do tej. Czarodziej, który rzucił na mnie zaklęcie, to znany ci już ojciec karlicy, z którą masz się ożenić.

Po tych słowach zając zniknął.

Aquilino czekał niespokojnie na kolejny wieczór. Do stołu i tym razem podawały latające ręce. Książę zjadł i udał się na spoczynek. Obudził go potworny hałas, a następnie liczne pary rąk chwyciły za prześcieradło i jeszcze zajadlej niż poprzedniej nocy zaczęły go podrzucać.

— Nie chce się obudzić!

— Jeśli się nie obudzi, to już po nas!

Ręce rzuciły księcia w górę jeszcze raz, tak mocno, że zawisł na wystającym z drewnianego stropu gwoździu. A następnie zniknęły.

Aquilino otworzył oczy i zobaczył przed sobą srebrnego zająca, którego ciało przybrało już w całości kobiecą postać; głowa wprawdzie pozostawała jeszcze zajęcza, lecz oczy były ludzkie.

— Biedny książę! Z miłości dla mnie wytrzymaj jeszcze jedną noc, a potem będziemy wolni.

I nadeszła trzecia noc. Znowu pojawiły się ręce, tym razem jeszcze bardziej rozgniewane.

— Gramy?

— Gramy!

— Ale dzisiejszej nocy musimy z tym skończyć!

— Musimy!

I to rzekłszy, przystąpiły do swojej okrutnej zabawy.

Z całej siły podrzucały Aquilina pod sam sufit, a ten przyklejał się do niego na chwilę niczym kawałek ciasta, po czym opadał na naprężone prześcieradło przy akompaniamencie diabelskiego rechotu. Miłość do Nazzareny powstrzymywała go przed otwarciem oczu.

— Nie chce się obudzić! Jesteśmy zgubieni!

— Już po nas!

— Zaczyna świtać! To koniec!

Rozwścieczone ręce zbliżyły się do okna, naprężyły prześcieradło i wystrzeliły Aquilina w niebo. Książę wzbijał się hen wysoko do góry, a potem zaczął spadać, i spadał tak przez dziesięć minut, aż w końcu wylądował na trawie. Otworzył oczy, był mocno obolały, ale żył. Znajdował się tuż obok zaczarowanego drzewa.

Przed oczami miał swoją prawdziwą narzeczoną, Nazzarenę, której olśniewająca uroda nie miała sobie równych w świecie. A tuż za nią stał cały orszak: karoce, damy i rycerze wyzwoleni wraz z nią z zaklęcia.

Wszyscy razem ruszyli w podróż do zamku, a niezwłocznie po przyjeździe książę nakazał wszystkim mieszkańcom dworu zgromadzić się w Sali Rady Najwyższej i polecił przyprowadzić brodatego karła i jego córkę. Zwracając się do ministrów, rzekł:

— Zamówiłem skrzynię ze złota pełną klejnotów. Zabrał mi ją grasujący na drodze rzezimieszek i podmienił na inną, starą i spróchniałą. Los jednak chciał, że odnalazłem swoją skrzynię. I jak myślicie, którą zatrzymam?

— Pierwszą!

- A co powinienem zrobić z rzezimieszkim i spróchniałą skrzynią?
— Spalić!
I tak też się stało, a wyrokowi i zaślubinom towarzyszyły oklaski całej gawiedzi.

Przekład — Aleksandra Koman

TRZY TALIZMANY

*Gdy śnieg z nieba padał czarny,
a po niebie fruwały sarny,
gdy koty spały na głowie,
pewnego razu żył sobie...*

...stary rolnik, który miał trzech synów. Gdy poczuł, że jego życie dobiega kresu i czas się pożegnać, zawezwał ich do siebie i tak im rzekł:

— Drodzy synowie, wiecie, że nie jestem bogaty, jednak każdemu z was pragnę zostawić po sobie drogocenny talizman. Kasandrynie, poeto, najuboższy z moich synów, przekazuję ci tę oto zniszczoną torbę. Za każdym razem, gdy włożysz do niej rękę, znajdziesz w środku sto skudów. A ty, Sansonetto, zważywszy, że jesteś rolnikiem i będziesz musiał zapewnić pożywienie wielu ludziom, przyjmij tę pogniecioną serwetę. Wystarczy, że rozłożysz ją na ziemi lub na stole, a pojawią się na niej potrawy dla tylu osób, ile zechcesz ugościć. A dla ciebie Oddo — wszak jesteś kupcem i wciąż przebywasz w podróży — mam tę oto pelerynę. Gdy zrzucisz ją na ramiona, a następnie złapiesz za jej rogi i podniesiesz do góry ręce, peleryna uczyni cię niewidzialnym i przeniesie dokądkolwiek tylko zapragniesz.

Ojciec wkrótce potem wyzionął ducha, a trzech synowie rozeszli się w smutku każdy w swoją stronę.

Kasandryn wyjechał do miasta, gdzie kupił wspaniały pałac, wytworne ubrania, klejnoty oraz konie i wiódł dostatnie życie. Ludzie mówili, że jest księciem na wygnaniu, aż w końcu on sam zaczął w to wierzyć. Zaprağnął nawet złożyć wizytę samemu królowi. Przywdział najodborniejsze szaty, założył olśniewające klejnoty i udał się do pałacu.

Zatrzymał go wartownik.

— Książę, co cię sprowadza?

— Chcę zobaczyć się z królem.

— Podaj swoje nazwisko, a wtedy jego królewska mość zdecyduje, czy zechce cię przyjąć.

— Darujmy sobie te ceregiele! Masz tutaj sto skudów.

Wartownik uklonił się aż do ziemi i przepuścił Kasandryna. Przed wejściem do królewskich komnat zatrzymało go czterech halabardników.

— Książę, dokąd to?

— Do króla.

— Nie można ot tak złożyć wizyty jego królewskiej mości. Podaj swoje nazwisko, a jeśli król zechce cię przyjąć, wówczas cię przepuścimy.

Kasandryn podarował każdemu z halabardników po sto skudów, ci jednak nie zamierzali ustąpić.

— To za mało? Bierzcie zatem jeszcze więcej.

Halabardnicy, przekupieni złotem, przepuścili Kasandryna, a ten wkrótce został przyjacielem króla.

Już po kilku dniach na dworze mówiono ze zdumieniem o niesłychanej hojności Kasandryna. Gdziekolwiek młodzieniec się pojawiał, rozdawał sowite napiwki po sto skudów, a służący, kucharze, pokojówki i lokaje kłaniali mu się w pas, nie posiadając się z radości. Tylko pokojówka księżniczki, jedynej królewskiej córki, sprytniejsza od innych i ciesząca się szczególnymi względami, zaczęła podejrzewać, że za hojnością księcia kryje

się jakaś magiczna sztuczka. Pewnego wieczoru, pomagając księżniczce przy zdejmowaniu pończoch, zwierzyła się jej ze swych domysłów.

— Księżniczko, ta torba przybysza jest zaczarowana. Jest taka mała, a mimo to każdego wieczoru udaje mu się wyciągnąć z niej tysiące skudów... Trzeba mu ją odebrać!

— Masz rację — zgodziła się księżniczka — ale jak to zrobić?

— Jaśnie pani, co wieczór przy kolacji nieznajomy siada po twojej lewej stronie, trzeba dolać mu do kieliszka środek nasenny, wtedy zaśnie i wszystko pójdzie jak z płatka.

Jak powiedziały, tak zrobiły. Przy kolacji, gdy podano owoce, księciu Kasandrynowi zaczęły kleić się oczy, po chwili oparł głowę o obrus i ku zdziwieniu króla i ucztujących — zasnął. Zniesiono go do jednego z pałacowych pokoi i dalej spał już w łóżku.

Służąca tylko czekała na ten moment, wzięła torbę Kasandryna i zaniósła ją swojej pani. Potem, działając we wzajemnym porozumieniu, oddały śpiącego młodzieńca w ręce czterech zbirów, rozkazały wyrzucić go za mury pałacu i pozostawić na pustkowiu. Kasandryn obudził się o świcie cały przemarznięty i zaraz zrozumiał, że stał się ofiarą podstępny.

— Zemszczę się — powiedział, po czym opuścił miasto i udał się do swojej rodzinnej wsi.

Przybył do brata, a ten przywitał go z otwartymi ramionami i posadził przy palenisku pomiędzy swoją żoną a dziećmi.

— Kasandrynie, bracie mój, gdzie masz swoją zaczarowaną torbę?

— O ja nieszczęsny! Dałem się podejść w mej naiwności i ukradziono mi ją — rzekł, po czym opowiedział bratu całą historię. — Dzięki twojej pomocy mógłbym ją odzyskać.

— Jak?

— Pożycz mi swoją magiczną serwetę.

Sansonetto zawahał się.

— Bardzo cię proszę, potrzebna mi jest tylko na kilka dni, zaraz potem ci ją zwrócę.

Brat dał Kasandrynowi serwetę, prosząc, by nie zapomniał mu jej zwrócić. Kasandryn udał się do miasta, założył skromne szaty i poszedł do pałacu, przedstawiając się jako kucharz szukający zajęcia. Minister Smakołyków popatrzył na niego z niedowierzaniem i z pogardą, po czym przydzielił mu ostatnie miejsce w kuchennej hierarchii.

Pewnego dnia, gdy król wydawał obiad dla ambasadorów sultana, Kasandryn zwrócił się do mistrza kuchni:

— Pozwól mi zająć się wszystkim, obiecuję, że przygotuję obiad, jakiego nigdy nie widzieliście.

Kucharz roześmiał się szyderczo:

— Ty biedny, durny pomywaczu!

Jednak Kasandryn nie dał za wygraną i tak długo nalegał, aż mistrz kuchni zapytał:

— Odpowiadasz za wszystko swoją głową?

— Tak, odpowiadam za wszystko swoją głową.

Kucharze udali się na przechadzkę, a Kasandryn został sam w kuchni. Kilka minut przed południem wszedł do sali jadalnej i rozłożył magiczną serwetę na rogu przeogromnego stołu.

— Serweto, serweto, niech stół nakryje się dla pięciuset osób i niech ugina się od dań tak wspaniałych, że aż król, dwór i ambasadorzy zaniemówią, a wszyscy kucharze tej ziemi będą przecierać oczy ze zdziwienia!

I oto pojawiły się delikatne obrusy, błyszczące kryształ i srebra, rozplywające się w ustach wyrafinowane potrawy, wytwornie skomponowane pasztety, wyśmienita dziczyna, rzadkie ryby, owoce z morza i wina ze słonecznych wysp. Gdy nadeszła godzina obiadu, biesiadnicy nie posiadali się z zachwytem. Król wezwał mistrza kuchni i pochwalił go przed całym dworem. Od tego dnia szef kuchni powierzył Kasandrynowi przygotowywanie dań, a sam zbierał wszystkie pochwały.

Każdego dnia Kasandryn kilka minut przed posiłkiem wchodził do jadalni, zamykał się na klucz i po chwili z niej wychodził. I królewskie stoły były zawsze suto zastawione.

Służący zaczęli podejrzewać go o czary.

Pewnego dnia pokojówka księżniczki, sprytniejsza od innych, podejrzwała przez dziurkę od klucza, jak potrawy pojawiają się na stołach znikąd.

Szybko podzieliła się odkryciem ze swą panią.

— Jaśnie pani, ten nieznajomy, który posługiwał się zaczarowaną torbą, nadal przebywa w pałacu. Podaje się za kucharza i ma magiczną serwetę, dzięki której wyczarowuje potrawy.

— Musimy zdobyć tę serwetę! — odpowiedziała księżniczka.

— Zdobędziemy ją! — obiecała służąca. Jak powiedziała, tak zrobiła. Pod osłoną nocy włamała się do sekretarzyka, w którym Kasandryn przechowywał magiczny talizman i podmieniła go na zwykłą serwetę.

Następnego dnia, przygotowując obiad, Kasandryn na darmo rozkładał serwetę, potwarzając zaklęcie. Stoły były puste.

— Po raz drugi dałem się podejść! Tym razem jednak na pewno się zemszczę!

Opuścił miasto i udał się do swojej rodzinnej wsi. Odwiedził drugiego brata, a ten przyjął go z otwartymi ramionami i zapytał Kasandryna, jak mu się wiedzie. Kasandryn opowiedział o swoich nieszczęściach.

— Ukradzono mi torbę i serwetę, jednak dzięki twojej pomocy mógłbym je odzyskać.

— Jak zatem mogę ci pomóc, bracie?

— Pożyczając mi swoją zaczarowaną pelerynę.

Oddo zawahał się, wszak peleryna, dzięki której stawał się niewidzialny i mógł podróżować, była niezbędna w jego pracy. Kasandryn jednak prosił tak długo, aż brat uległ namowom i pożyczył mu talizman. Założył na siebie pelerynę, złapał za jej poły, rozpostarł ramiona i w kilka chwil znalazł się znów w mieście. Niewidzialny, wspinał się na stopnie pałacu i wszedł do pokoi księżniczki, która smacznie spała. Kasandryn zakrył jej twarz połą peleryny.

— Mocą tej peleryny chcę, abyśmy oboje przenieśli się na Wyspy Szczęśliwe — wypowiedział zaklęcie.

Peleryna otuliła ich jak ciemna, kłębiąca się chmura i po kilku sekundach znaleźli się w palmowym lasku na dalekich wyspach.

Księżniczka, gdy tylko zorientowała się, że jest w niewoli u Kasandryna, postanowiła go przekonać, że cieszy się z takiego obrotu spraw. A wszystko to, by odkryć sekret jego magicznych mocy. Szybko omamiła go tak, że wyjawiał jej sekret peleryny. Pewnej nocy, gdy Kasandryn spał, księżniczce udało się ostrożnie wyciągnąć ją spod jego karku.

— Mocą tej peleryny chcę się przenieść do zamku mojego ojca króla!

Kasandryn przebudził się właśnie w chwili, w którym peleryna otuliła księżniczkę jak ciemna, kłębiąca się chmura i poniosła ją w błękit ku królestwu jej ojca.

— Znów mnie okradła, przebiegła niewiasta! — zakał zrozpaczony.

Spędził na wyspie wiele miesięcy, żywiąc się jedynie owocami. Pewnego dnia, gdy przechadzał się wzdłuż brzegu morza, zobaczył drzewo, na którym rosły ogromne, szkarłatne jabłka. Zerwał jedno z nich i skosztował. Owoce było wyśmienite, jednak szybko poczuł na ciele niepokojące swędzenie.

Spojrzał na swoje dłonie i ramiona, przejrzał się w źródle i zobaczył, że cały jest pokryty zielonymi łuskami.

— O ja nieszczęśliwy! Cóż to takiego? — wykrzyknął, dotykając skóry całej w łuskach jak skóra węża.

Kasandryn połakomił się także na inne jabłka, całe żółte, które rosły na pobliskim drzewie. Także i tym razem poczuł swędzenie, tyle że łuski powoli zaczęły znikać, a jego skóra znów stała się biała. Zaczął więc jeść kolejno owoce raz z jednego, raz z drugiego drzewa i bardzo go bawiło, jak jego skóra to blednie, to zielenieje.

Po kilku miesiącach spędzonych na wygnaniu spostrzegł na horyzoncie zbliżającą się korsarską galeotę. Tak głośno krzyczał, że korsarze zbliżyli się do brzegu i przyjęli go na pokład. Zanim opuścił wyspę, zerwał jeszcze po trzy owoce z obu drzew i schował je do kieszeni.

Tak oto udało mu się powrócić do miasta księżniczki. W niedzielę po przybyciu przebrał się za pielgrzyma, ustawił stolik przy wejściu do kościoła, gdzie księżniczka zwykła chodzić na mszę, i umieścił na nim trzy okazałe owoce — te, za sprawą których skóra pokrywała się zielonymi łuskami.

Przechodziła tamtędy księżniczka wraz ze służącą i przystanęła zaciekawiona, nie rozpoznając Kasandryna w tym przebraniu. Zwróciła się do pokojówki:

— Tersillo, kup te owoce.

Kobieta zbliżyła się do pielgrzyma i zapytała:

— Ile kosztują te jabłka?

— Trzysta skudów.

— Ile?

— Trzysta skudów.

— Chyba oszalałeś! Sto skudów za jabłko?

— Jeśli je chcesz, to płać, w przeciwnym razie nie ma co gadać po próżnicy.

Służąca wróciła do swojej pani.

— Trzysta skudów! Dobrze, że ich nie kupiłaś.

I weszły do kościoła.

Podczas mszy jednak księżniczka, klęcząc przed ołtarzem, z oczami wzniesionymi ku niebu i złożonymi rękoma, o niczym innym nie myślała jak tylko o owocach sprzedawanych przez pielgrzyma. Zaraz po wyjściu z kościoła zatrzymała się, by znów na nie spojrzeć, po czym zwróciła się do służącej:

— Idź i kup te owoce za trzysta skudów. Odzyskam je przecież dzięki magicznej torbie.

Kobieta podeszła do pielgrzyma.

— Wybacz, ale teraz te jabłka nie kosztują już trzysta, lecz sześćset skudów.

— Raczysz sobie ze mnie żartować?

— Trzeba było kupić je od razu, teraz kosztują dwa razy tyle.

Służąca wróciła do pani, a potem znów udała się do pielgrzyma i kupiła jabłka. Wyłożone na złotej tacy egzotyczne smakołyki wzbudziły ogólny zachwyty. Podczas deseru król wziął jeden owoc dla siebie, drugi podał królowej, a trzeci księżniczce. Smakowały wyśmienicie, lecz żadne z trojga nie zjadło ich nawet do połowy, a już jęli spoglądać na siebie zaniepokojeni. Ich skóra zzieleniała i pokryła się węzowymi łuskami. Królewska rodzina popadła w rozpacz i przerażenie.

Chorych przeniesiono do pokoi, a zła wieść rozniosła się po całym królestwie.

Nadaremnie zwracano się o pomoc do najznamienitszych lekarzy. W końcu wydano obwieszczenie: „Ten, kto sprawi, że rodzina królewska odzyska ludzką skórę, otrzyma rękę księżniczki, jeśli zaś uzdrowiciel będzie żonaty, w nagrodę dostanie połowę królestwa”.

Kasandryn przeczekał, aż królewską rodzinę odwiedzą lekarze, chirurdzy, czarodziejki i magowie i po kilku dniach udał się do pałacu.

Przyjęto go w pokoju królewskiej pary.

— Przysięgasz zatem, że możesz nas uzdrowić?

— Tak, przysięgam.

— Kiedy rozpocznieś kurację?

— Zaraz, jeśli taka wasza wola.

Kasandryn rozkazał królowi rozebrać się do pasa i wyjął z koszyka pęk pokrzyw, po czym zaczął chłostać królewskie plecy, trzymając pokrzywy w urękawicznionej dłoni.

— Wystarczy! Litości! — krzyczał król.

— Jeszcze, wasza królewska mość.

Potem taką samą kurację zastosował wobec królowej.

Gdy pólżywa już para królewska spoczywała na łożu, Kasandryn podał im do zjedzenia owoce z odległych wysp. Powoli królewskie oblicza odzyskiwały dawną biel, a łuski rzedły, aż całkiem zniknęły.

Król i jego małżonka nie posiadali się z radości.

Przyszła kolej na księżniczkę.

Kasandryn poszedł do pokoju królewskiej córki i zamknął się z nią na klucz. Rozpoczęto leczenie, zza drzwi dobiegały przejmujące jęki i krzyki.

— Pomocy! Dość! Wystarczy!

Kuracja trwała jednak dalej.

— Umieram! Wystarczy! Pomocy! Litości!

Po godzinie Kasandryn wyszedł z pokoju, zostawiając księżniczkę pólżywą.

— A co z jej skórą? — dopytywała królewska para.

— Jutro przyjdę dokończyć kurację i przywrócę jej naturalną biel.

Kasandryn udał się do swojego przyjaciela opata i powiedział:

— Przyjdź jutro około południa do pałacu królewskiego, żeby wypowiadać księżniczkę, której grozi rychła śmierć.

Opat obiecał przybyć do królewskiej córki.

Następnego dnia Kasandryn udał się do pałacu:

— Najjaśniejszy panie, dziś zakończę leczenie księżniczki, istnieje jednak ryzyko, że nie przeżyje kuracji...

— Wielki Boże! Co ty mówisz? — krzyknęła królewska para.

— Wezwałem opata, by księżniczka mogła wyznać swe grzechy przed śmiercią, będzie tu koło południa.

Potem udał się do chorej:

— Jaśnie pani, dziś zakończę kurację. Może jednak okazać się dla ciebie śmiertelna, dlatego wezwałem opata, byś mogła pojednać się przed śmiercią ze Stwórcą.

Księżniczka ze strachu zamknęła oczy. Przybył opat, który został sam z chorą, podczas gdy Kasandryn czekał w przyległym gabinecie.

Gdy spowiednik wyszedł z pokoju, zwrócił się do niego Kasandryn:

— Przyjacielu, pożycz mi na chwilę swoje szaty.

— Ależ byłaby to zniewaga kapłaństwa.

— Nie obawiaj się świętokradztwa. To w imię wyższego dobra — rzekł Kasandryn, po czym przywdział sutannę i wszedł do alkowy rozpaczającej księżniczki.

— Córko, obawiam się, że zapomniałaś o czymś podczas spowiedzi... Zastanów się, pomyśl raz jeszcze... Waż, że wyznajesz grzechy przed Najwyższym Sędzią.

Księżniczka zbladła, szlochając.

— Czy przypadkiem... — ciągnął Kasandryn, naśladując głos przyjaciela — nie przypominasz sobie, żebyś ukradła... przywłaszczyła sobie coś, co nie należy do ciebie?

— Och, ojczel! — załkała księżniczka — ukradłam magiczną torbę księciu, który do nas przybył.

— Musisz mu ją zwrócić! Daj mi tę torbę, oddam ją właścicielowi.

Zmęczona księżniczka wskazała na srebrny sekretarzyk i Kasandryn zabrał torbę.

— Nic więcej sobie nie przypominasz?

— Och, ojczel! Ukradłam zaczarowaną serwetę temu samemu przybyszowi, weź ją, jest tam w skrzyni z kości słoniowej.

— To tyle, nic więcej sobie nie przypominasz?

— Peleryna, ojczel! Magiczna peleryna, ukradłam ją temu samemu człowiekowi. Jest tam, w cedrowej szafie...

I Kasandryn zabrał pelerynę.

— Dobrze więc. Zjedz to jabłko, pomoże ci wyzdrowieć.

Księżniczka ugryzła owoc i łuski na jej ciele zaczęły rzednąć, aż w końcu całkiem zniknęły. Wtedy Kasandryn zdjął perukę i sutannę.

— Księżniczko, czy mnie poznajesz?

— Litości! Litości! Wybacz mi! Zapłaciłam wysoką cenę!

Królewska para weszła do pokoju księżniczki. Na widok zdrowej córki król uściskał lekarza.

— W nagrodę dostaniesz rękę księżniczki, należy ci się.

— Dziękuję, wasza królewska mość, ale jestem już zaręczony z pewną dziewczyną z mej wioski.

— W takim razie daruję ci połowę mojego królestwa.

— Dziękuję, wasza królewska mość, ale nie wiedziałbym, co z nim zrobić. Ta stara torba, ta serweta i ta zniszczona peleryna wystarczą mi za zapłatę...

Kasandryn, niewidzialny pod osłoną peleryny, uleciał do swojej wioski, gdzie oddał braciom ich talizmany i ożenił się z dziewczyną z rodzinnej wsi, a potem żył szczęśliwy w otoczeniu pól, nie porywając się na kolejne przygody.

Przekład — Paulina Kwaśniewska-Urban

KOSZULA PRABABKI

*Dawno temu, gdy latały niedźwiedzie,
gdy nocą myszy polowały na koty,
gdy psy czytały ludziom po obiedzie,
wtedy wydarzyła się historia sieroty...*

...który miał na imię Maślak. Młodzieniec najczęściej zbijał bąki i bujał w obłokach, a ludzie mieli go za głupca. Chodził po domach i żebrał, sąsiedzi patrzyli nań nawet życzliwym okiem, pomagał czasem gospodyniom porąbać drewno i zaczerpnąć wodę ze studni, a te odwdzięczały się talerzem gorącej zupy. Jednakże gdy skończył osiemnaście lat, sąsiedzi przestali już traktować go tak przychylnie i zaczęli mu wypominać jego beczynną łazęgę.

Maślak postanowił opuścić wioskę i wyruszyć w świat ku przygodzie.

Przed podróżą poszedł się pożegnać ze swoją siostrą Stokrotką.

— Chciałabym dać ci na pamiątkę drobny upominek. Nie jestem bogata i nie mam nic cennego, co mogłabym ci ofiarować, oprócz zniszczonej koszuli mojej prababki, która była czarodziejką.

Młodzieniec nie potrafił ukryć rozczarowania.

— Nie gardź moim prezentem, braciszku. Przyda ci się bardziej, niż ci się wydaje. Wystarczy, że rozłożysz koszulę na ziemi i wypowiesz życzenie, a ono od razu się spełni.

Maślak schował podarunek, ucałował siostrę na pożegnanie i wyruszył w drogę. Kiedy nadszedł wieczór, młodzieniec zrobił się głodny. Nie mając ze sobą ani prowiantu, ani pieniędzy, zaczął się poważnie martwić, nie bardzo bowiem chciało mu się wierzyć w magiczną moc starej koszuli.

Niemniej jednak postanowił spróbować. Rozłożył ją na ziemi i wyszeptał życzenie:

— Koszulo prababki, chciałbym pieczonego kurczaka.

Wtem jego oczom ukazał się zarys kurczaka, bardzo niewyraźny. Po chwili jednak zaczął pęcznieć, aż w końcu nabrał kształtów i zyskał złocistą barwę prawdziwej pieczeni. Dookoła zaś rozchodził się bardzo smaczny zapach.

Maślak z początku nie śmiał tknąć kurczaka w obawie przed złymi czarami. Po jakimś czasie schylił się, dotknął pieczeni, oderwał skrzydełko i skosztował.

Był to najprawdziwszy w świecie kurczak, niezwykle smakowity. Młodzieniec zamówił sobie potem ciasto z rodzynkami, talerz brzoskwiń i butelkę wina Zivania.

I wtem wszystko po kolei zaczęło zarysowywać się na koszuli prababki, nabierając po chwili już zupełnie realnych kształtów.

Maślak siedział właśnie na trawie i spożywał posiłek, kiedy ujrzał nadchodzącego główną drogą leciwego żebraka, który patrzył na niego błagalnym wzrokiem.

— Siadaj koło mnie i się częstuj!

Starzec nie dał się długo prosić i przystał na zaproszenie Maślaka.

Lecz kiedy poznał cudowny sposób pojawiania się kolejnych dań, poprosił młodzieńca, aby ten podarował mu magiczną koszulę.

— Dam ci w zamian swój kij.

— A na co mi on?

— Gdybyś znał jego prawdziwą moc, przyjąłbyś go z radością. Otóż zawiera on w sobie tysiąc małych komórek, a w każdej z nich znajduje się uzbrojony rycerz na koniu w pełnym rynsztunku. Gdy tylko znajdziesz się w niebezpieczeństwie, wystarczy, że wydasz komendę: „Do boju!”.

Maślakowi od zawsze marzyło się, żeby zostać dowódcą. Nie mógł się oprzeć pokusie i przystał na wymianę, po czym ruszył w drogę, jednak po upływie kilku godzin pożałował swojej decyzji.

— Jestem głodny i nie mam już swojej koszuli! Na co mi armia, kiedy mam pusty żołądek?

Chcąc odwrócić uwagę od nasilającego się głodu, Maślak wymierzył kij w ziemię i rozkazał:

— Do boju!

We wnętrzu kija rozległ się szelest, po czym otworzyły się liczne małe okienka, a z każdego małego okienka wyszła drobinka wielkości pszczoły. Pęczniała i pęczniała, aż w końcu wokół młodzieńca wyrósł mur zbrojnych na koniach w pełnym rynsztunku niecierpliwie przebiegających kopytami.

Maślak patrzył rozmarzony.

— Jesteśmy na pańskie rozkazy, generale!

Wtedy Maślak wpadł na pewien pomysł...

— Przynieście mi koszulę prababki!

Armia ruszyła galopem przed siebie, zniknęła za horyzontem, aby po krótkim czasie wrócić z cudowną tkaniną.

— Żołnierze, wracajcie do koszar!

Młodzieniec wymierzył kij w ziemię, a wtedy konie i rycerze zaczęli się kurczyć, by po kilku sekundach wrócić do rozmiarów pszczoły. Schowali się później w swoich komórkach, nie zostawiając po sobie ani śladu.

Maślak był szczęśliwy.

Ponownie wyruszył w drogę, aż dotarł do młyna.

W progu stał młynarz i grał na flecie, a obok tańczyła żona wraz z dziewięciorgiem dzieci. W miarę jak się zbliżał, jego nogi same rwały się do tańca, aż w końcu uległ tej dziwnej, tajemniczej sile i dołączył do pozostałych.

Usłyszał po chwili, jak młynarzowa krzyczy w tańcu wściekła na męża:

— Dosyć! Dość już! Nie masz serca! Daj nam chleb zamiast zmuszać nas do tańca.

Potem zwróciła się do tańczącego obok nich Maślaka:

— Czy ty to widzisz? Ten łajdak, zamiast iść do pracy i zarabiać na rodzinę, bierze swój przeklęty flet i zmusza nas do tańca.

Kiedy młynarz uznał, że już wystarczy, przestał grać, a wtedy żona, dzieci i Maślak — wyczerpani tanecznym wirowaniem — upadli na ziemię. Odzyskawszy siły, Maślak rozłożył koszulę prababki i zamówił obiad, wprawiając w niemałe osłupienie całą rodzinę, która chwilę potem zasiadła wraz z nim do wspólnego posiłku.

Pod koniec młynarz powiedział:

— Odstąp mi swoją koszulę, a ja dam ci swój flet.

Maślak przystał na wymianę, dobrze bowiem wiedział, jak dalej postąpić. Oddalił się dziesięć mil od wioski, po czym uwolnił armię zbrojnych, którzy przynieśli mu koszulę prababki.

— Teraz mam koszulę, kij i magiczny flet... Czegóż mógłbym chcieć więcej?! Wieczorem dotarł do pewnego miasta i ujrzał wielkie, bardzo kolorowe ogłoszenia, w których król oznajmiał, że komu uda się wyleczyć jego owładniętą melancholią córkę, temu odda ją za żonę. Maślak od razu udał się na dwór królewski. Tak się akurat złożyło, że tego wieczoru król wydawał uroczyste przyjęcie dla ambasadorów Wielkiego Sultana, jednakże gdy dowiedział się o przybyciu Maślaka, kazał go natychmiast wprowadzić do pałacu. Gdy młodzieniec wszedł do ogromnej sali, niemalże osłepił go blask klejnotów i złota.

Na przyjęciu bawiło ponad pięćset osób. Obok króla i królowej, pogroźona w myślach i blada jak lilia, siedziała piękna księżniczka. Jednemu ze służących Maślak kazał związać księżniczce nogi, ale tak, żeby inni nie zauważyli. Następnie schował się w ustronnym miejscu i zaczął grać. Wtem zapanowało zamieszanie wśród biesiadników, wszystkim zaczęły drżeć nogi i kolana... Po chwili wszyscy wstali, odsunęli krzesła na bok i zaczęli tańczyć, spoglądając po sobie z nieskrywanym zdumieniem.

Królewicze, baronowie, brzuchaci ambasadorzy, tłuste, czcigodne baronowe, służący i podczasy, a nawet charty, pawie i nadziewane bażanty na złotych półmisach — wszyscy oni dali się porwać niewidzialnej sile do tego zawrotnego tańca!

— Dosyć! Dość już! Litości! — krzyczeli ci najstarsi i najgrubszy.

— Dalej! Jeszcze! — mówili ci młodszy, trzymając się za ręce.

Przywiązana do krzesła księżniczka patrzyła z uśmiechem na roztańczoną salę, usiłując oswobodzić się z więzów. W końcu Maślak uznał, że już wystarczy i przestał grać. Pięćset wycieńczonych tancerzy upadło na dywany i usiadło na krzesłach. W tanecznym wirze damy pogubiły pantofelki i peruki. Księżniczka śmiała się przez godzinę, a kiedy przestała, zwróciła się do króla:

— Drogi ojczu, to on mnie uzdrowił, więc wyjdę za niego za męża.

Król się zgodził, lecz Maślak się wahał.

— Zostawiłem w wiosce moją siostrę, piękną jak słońce, której zawdzięczam wszystko, co mam. Chciałbym, żebyście ją poznali.

— Zatem jedź po nią czym prędzej — odpowiedzieli mu biesiadnicy.

Wtem w ogromnej sali zjawiły się tysiące rycerzy, wzbudzając niemałe zdziwienie biesiadników.

— Sprowadźcie tu moją małą siostrę! — rzekł Maślak do swoich rycerzy.

I cała armia, hałasu robiąc co niemiara, opuściła pałac. Wkrótce była już z powrotem razem z siostrą Stokrotką. Jej uroda nie uszła uwadze dworskich gości, a jeden z ambasadorów od razu się w niej zakochał.

I tak oto w tym samym dniu odbyło się podwójne wesele.

Przekład — Monika Adamus



MŁYNARZ I JEGO PAN

*Gdy koguty miały kły
i śnieg czarny padał zły
(dzieci, wnet nadstawcie ucha,
baśni tej niech każdy słucha),
gdy koguty miały kły,
wtedy właśnie gdy, gdy, gdy...*

...żył sobie pewien młynarz, który już od czterech lat nie płacił swojemu panu czynszu za młyn.

Jego panem był bardzo bogaty, a w dodatku wyniosły i okrutny właściciel ziemski, który miał żonę o wiele okrutniejszą od siebie.

Któregoś dnia, wracając w złym humorze z nieudanego polowania, zastrzelił krowę młynarza.

Widziała to żona młynarza i pobiegła ze szlochaniem do domu:

— To już nasz koniec! Ten potwór zabrał nam nawet naszą krowę!

Młynarz nie odezwał się ani słowem.

Ściągnął skórę ze zwierzęcia i wyruszył do miasta, by ją sprzedać. Jako że noc zastała go akurat, gdy przejeżdżał przez las nawiedzany przez rozmaitych zbójców, zdjęty strachem postanowił wspiąć się na drzewo i przeczekać do świtu w jego konarach.

Niedługo potem tuż pod drzewem zjawiała się banda rabusiów, którzy kłócili się głośno o podział zrabowanego łupu. Młynarz zarzucił na siebie krowią skórę i zeskokczył między nich, wymachując rogami i kopytami na wszystkie strony. Przekonani, że samego diabła zobaczyli, zbójcy uciekli w popłochu.

Porzucone złote monety młynarz zebrał do skóry i zaniósł do swojego domu. Było ich tak dużo, że cała długa noc minęła i świt zdążył nastać, a razem z żoną jeszcze ich liczyć nie skończyli. Posłał więc żonę do swojego pana, by pożyczyla od niego korzec.

— Po co wam mój korzec? — spytał ją zdziwiony pan.

— Żeby policzyć nasze pieniądze, mój panie.

— Żarty sobie ze mnie stroisz?

— W żadnym wypadku! Chodź ze mną, panie, a sam zobaczysz.

Pan poszedł i zobaczył lichego stoła młynarza cały zasłany złotymi monetami.

— Skąd te wszystkie pieniądze?! — zawołał pan.

— Za krowią skórę, mój panie — odparł młynarz. — Sprzedałem ją w mieście. Chciałem ci podziękować, że zabiłeś mi krowę.

Pan czym prędzej pobiegł do swego domu, kazał zabić wszystkie swoje krowy, ściągnąć z nich skóry i zapakować je na wóz zaprzężony w cztery konie, a następnie osobiście udał się do miasta, by je sprzedać.

— Ile kosztuje ta skóra? — spytał go garbarz.

— Korzec złotych monet — odparł pan.

— Wolne żarty, dobry człowieku!

— Wcale nie żartuję! Korzec złotych monet!

A że wszystkim dawał tę samą odpowiedź, garbarze wzięli go za wariata. Otoczyli go, zaczęli mu dokuczać i go szturchać. W końcu nieborak musiał uciekać, zostawiając na targu wszystkie swoje skóry.

Rozgniewany do żywego udał się do młynarza, lecz do niczego się nie przyznał, wszak zbyt ucierpiałaby na tym jego duma.

Młynarz, który akurat jadł mięso z zabitej krowy, zaprosił pana do wspólnej biesiady.

Gdy posiłek dobiegł końca, a wino lekko uderzyło do głowy, młynarz rzekł:

— Mój panie, wszyscy wiedzą, że pod względem brawury i siły nie masz sobie równych. Jednak sądzę, że w jednej rzeczy mi ustępujesz...

— W czym takim?

— Mogę tu na twoich oczach zabić swoją żonę, a następnie wskrzesić ją przy pomocy magicznej lutni.

— Żarty na bok! — wykrzyknął pan.

— Spójrz tylko, mój panie.

Młynarz chwycił nóż, powalił żonę na ziemię, udając, że podcina jej gardło, w rzeczywistości jednak nawet jej nie drasnął. Rozciął jedynie pęcherz wypełniony krwią, specjalnie wcześniej ukryty przy jej szyi.

Kobieta wyla się na ziemi, pozorując śmierć w konwulsjach, aż w końcu zeszywniała. Pan patrzył na to wszystko w osłupieniu.

Następnie młynarz wziął w ręce lutnię i zaczął grać. Jego żona zaś odegrała scenę powrotu do życia, otworzyła oczy, po czym z uśmiechem skoczyła na równe nogi.

— Daj mi swą lutnię, a oddam ci mój młyn na dwa lata — zaproponował pan.

— Zgoda — odparł młynarz.

Uradowany pan wziął magiczny instrument i wrócił do domu.

„Moja żona zaczyna się już starzeć, a ja mógłbym ją odmłodzić...” — pomyślał w duchu.

Gdy żona już spała, wziął nóż kuchenny i jednym cięciem pozbawił ją głowy. Następnie zaczął grać na wszechmocnej lutni.

Ale cóż to?! Kobieta była martwa i żaden dźwięk nie mógł jej już obudzić.

— Niecny młynarz! — wykrzyknął pan. — Znów mnie oszukał!

I pobiegł z powrotem do młyna, lecz i tym razem nie pisnął ani słowa, bo nie pozwalała mu na to urażona duma.

Młynarz stał na środku podwórza w samej koszuli i ze śpiewem na ustach okładał batem kocioł wrzącej wody (dopiero co zdjęty z ognia).

— Co robisz, młynarzu? — zapytał pan.

— Gotuję zupę, mój panie.

Pan podszedł bliżej zdziwiony.

— I woda wrze od tego okładania batem?

— Nie inaczej, mój panie. W tym roku drewno jest wyjątkowo drogie, więc używam tego oto magicznego bicza.

— Masz rację... daj mi ten bicz, a dostaniesz mój młyn na kolejne dwa lata.

Pan wrócił do domu z cudownym batem, kazał wykarczować wszystkie swoje lasy, a drewno sprzedał za bezcen.

Pewnego dnia kucharka powiedziała:

— Nie ma już więcej drewna, by ugotować obiad.

— Nie martw się, głupia! Już moja w tym głowa.

Nakazał całej służbie zebrać się w samo południe na dziedzińcu, gdzie na jego polecenie ustawiono duży kocioł, który pan następnie zaczął zapalczywie biczować.

— Zobaczycie, zupa ugotuje się sama! — zawołał.

Okładał naczynie batem i co chwila sprawdzał, czy woda wrze, ale nic z tego, bo garnek wciąż pozostawał zimny.

Służba myślała, że ich pan oszalał, i z trudem powstrzymywali się od śmiechu.

Wreszcie pan zrozumiał, że młynarz po raz kolejny wyprowadził go w pole. Wziął więc wielki wór i wraz ze swym najbardziej zaufanym sługą ruszył do młyna.

Młynarz ani się spostrzegł, a w mgnieniu oka go skrępowano i zawiązano w wore, który oprawcy zamierzali wrzucić do pobliskiego stawu. Jednakże po drodze, gdy dźwigali ciężki wór, zauważyli jadącego w oddali złotnika z trzema końmi obładowanymi kosztownościami.

Tak się złożyło, że pan znał tego człowieka, obawiał się więc, że jego niecne zamiary wyjdą na jaw. Dlatego rzekł do sługi:

— Ukryjmy się w tym zagajniku, dopóki nas nie minie.

Rzucili wór pod rosnący obok żywopłot, a sami uciekli w głąb lasu.

Gdy uwięziony młynarz usłyszał odgłos zbliżających się koni, jął wołać:

— Pomocy! Ratunku! Chcą mi ją dać, a ja jej nie chcę!

— Ale kogóż tak bardzo nie chcesz? — pytał zdumiony złotnik, który zsiadł z konia i zaczął obmacywać tajemniczy wór.

— Pewnej jedyńaczki, bardzo bogatej, lecz garbatej. Chcą mnie przymusić do małżeństwa z nią!

Złotnik rozwiązał worek i młynarz odzyskał wolność.

— Więc mówisz, że jest bardzo bogata? — spytał złotnik.

— Jedna z najbogatszych w całym królestwie — odrzekł młynarz.

Złotnik, człowiek chciwy jakich mało, zadumał się na chwilę.

— Jeśli chcesz, zamienię się z tobą.

Złotnik włożył do worka, a młynarz zawiązał go bardzo mocno i zostawił na drodze. Potem wziął konie i klejnoty, po czym udał się do miasta.

Po pewnym czasie na miejsce ostrożnie wrócili pan i jego sługa.

— Wezmę ją! Wezmę ją! — krzyczał pokornie złotnik.

— Kogo weźmiesz? — spytał pan.

— Twą córkę, panie.

— Idź więc jej szukać! — zawołał pan i wrzucił worek do stawu, w którego głębinach złotnik zniknął na zawsze.

Dwa dni później pan i sługa wybrali się na targ i odwiedzili najokazalsze sklepy.

W pewnym momencie krzyknęli z przerażenia. To było jak zły sen.

W sklepie z klejnotami stał młynarz, zdrowy i uśmiechnięty.

— To ty!? Czy to ty!? Młynarz! — zapytał zdumiony pan.

— We własnej osobie, mój panie. Czy uczynisz mi zaszczyt i kupisz coś w moim sklepie?

— Nie jesteś tam, gdzie twoje miejsce, w stawie razem z żabami!?

— Widzisz, zbyt duża wilgotność mi nie służy. Ale chciałbym ci podziękować, gdyż w stawie spotkałem trzy wróżki, które obsypały mnie tymi wszystkimi bogactwami.

Pan i sługa oddalili się. Kiedy znaleźli się nad brzegiem, pan rozkazał służącemu, by ten zawiązał go w worku i wrzucił do stawu.

Sługa spełnił życzenie swego pana. Nikczemnik zapadł się w błotniste odmęty, lecz zamiast upragnionych skarbów, znalazł tam należną zapłatę za swą dumę i swe okrucieństwo.

Przekład — Izabela Pelc

LEGENDA O SZEŚCIU TOWARZYSZACH

Dawno temu żył sobie starzec, który miał trzech synów, ale nie miał żadnego majątku. Pewnego dnia przyszedł do niego najstarszy z nich i rzekł:

— Chciałbym wyruszyć w świat ku przygodzie.

— Nie będę cię zatrzymywał, jednak wszystko, co mogę ci dać, to dziesięć skudów — odpowiedział ojciec.

— To niewiele, ale musi mi wystarczyć.

Dezyderiusz — bo tak miał na imię młodzieniec — zabrał monety i ruszył przed siebie.

Gdy dotarł do miasta, ujrzał herolda, który donośnym głosem obwieszczał wszem i wobec, co następuje: „Jego królewska mość szuka kogoś, kto potrafilby zbudować statek, który byłby w stanie przemierzać zarówno wody, jak i lądy. Nagrodą będzie ręka księżniczki”.

„Chcę spróbować” — pomyślał Dezyderiusz, po czym podszedł do herolda i powiedział, że jest gotów podjąć się tego wyzwania.

Zaprowadzono go do królewskiego pałacu, a następnego dnia dostał siekierę do ścięcia drzewa niezbędnego do budowy statku.

Pracował cały ranek, a w południe usiadł w cieniu starego kasztanowca i zaczął jeść chleb.

Przyglądała mu się z zaciekawieniem sroka, skacząc coraz niżej z gałęzi na gałąź. W końcu przemówiła, chrapliwie skrzecząc:

— Daj mi kawałek! Ja też chcę!

I błagalnie wysuwała dziób, próbując dosięgnąć dłoni Dezyderiusza.

— Zostaw mnie w spokoju, ty natrętnico! — krzyknął zniecierpliwiony młodzieniec.

Sroka podfrunęła dwie gałęzie wyżej.

— Co robisz? — spytała.

— Łyżki strugam — zadrwił z ptaka Dezyderiusz.
— Łyżki! Łyżki! — zaskrzeczała sroka, skacząc w górę po gałęziach.

I zniknęła.

Po skończonym posiłku Dezyderiusz wrócił do pracy, ale za każdym razem, gdy uderzał w drzewo siekierą, odpadał od niego kawałek w kształcie nierównej łyżki. Nie było sposobu, żeby temu zaradzić. Próbował kilka razy, aż w końcu zrozumiał, że padł ofiarą jakiegoś zaklęcia.

— Ta przeklęta sroka zaczarowała moją siekierę!

Wyrzucił narzędzie i wrócił do ojcowskiego domu.

— Już z powrotem? — zdumiał się ojciec.

— Tak. Lepsze życie razem z tobą w moim własnym domu od jakiegokolwiek przygody. I ani słowem się nie zająknął o królewskim obwieszczeniu ani o tajemniczej sroce.

Przyszła kolej na średniego syna, Ponuraka.

Ojciec dał mu na drogę zaledwie pięć skudów.

Po dotarciu do miasta Ponurak usłyszał obwieszczenie i postanowił spróbować swoich sił. Przepracował całe przedpołudnie, a potem usiadł u stóp stuletniego kasztanowca i zaczął skubać chleb.

Zobaczyła to sroka i zaczęła zbliżać się w jego stronę, skacząc z gałęzi na gałąź.

— Daj mi kawałek! Ja też chcę!

— Zostaw mnie w spokoju, ty natrętnico!

Sroka zbliżała się, trzepocząc skrzydłami, aż w końcu Ponurak przegnał ją ręką. Sroka podfrunęła na wyższe gałęzie.

— Co tu robisz? — zapytała.

— Kule dla twoich nóg, ciekawska sroko! — zadrwił z niej młodzieniec.

— Kule! Kule dla moich nóg! — zaskrzeczał ptak, chowając się pośród liści.

Po tych słowach zniknął.

Ponurak wrócił do pracy, jednak przy każdym ciosie siekiery od drzewa odpadał kawałek drewna w formie niewielkich kul.

„To ptaszysko rzuciło na mnie czar” — pomyślał Ponurak, po czym zostawił siekierę i rozzarowany udał się w drogę powrotną do domu.

Przyszła kolej na wyprawę najmłodszego syna, chłopca bladego i małomównego, który zwał się Serdecznik.

— Twoi starsi bracia sobie nie poradzili, a ty myślisz, że ci się uda? — zapytał go ojciec.

— Może dla mnie los będzie łaskawszy. Pozwól mi wyjechać, ojcze.

Serdecznik dotarł do miasta, usłyszał królewskie obwieszczenie, po czym postanowił podjąć się tego wyzwania. Po skończonej pracy w lesie usiadł pod wiekowym kasztanowcem i zaczął podjadać chleb.

— Daj mi kawałek! Ja też chcę! — usłyszał nagle.

Chłopiec podniósł wzrok i ujrzał nachyloną ku niemu srokę.

— Masz, biedna istoto!

Rozdrobnił chleb i rzucił go na trawę. Sroka, jedząc okruchy, zapytała:

— Co tu robisz?

Serdecznik opowiedział jej o wyzwaniu, którego się podjął.

— Powodzenia! Obyś zrobił piękny statek! — zaskrzeczała sroka, wskakując po gałęziach kasztanowca.

— Niech dobry Bóg wysłucha twojego życzenia!

Serdecznik wrócił do pracy i przy każdym ciosie siekierą w pień od drzewa odpadał już gotowy, oszlifowany fragment statku. Poszczególne jego części przyciągały się do siebie i łączyły jakby za sprawą magnetycznej siły.

„To jakieś czary!” — pomyślał uradowany Serdecznik.

Przed zachodem słońca cudowny statek był gotowy. Chłopiec stanął za sterem, po czym ruszył przed siebie poprzez pola, rzeki, doliny i jeziora, siejąc przerażenie wśród mijanych na swej drodze wieśniaków.

W końcu spotkał człowieka, który gryzł kość.

— Co robisz? — spytał go Serdecznik.

— Umieram z głodu! — odpowiedział tamten.

— Płyn ze mną, a będziesz miał co jeść.
 I Wszystkojad — bo tak mężczyzna miał na imię — wsiadł na statek.
 Niedługo później, przy źródle, spotkali kolejnego człowieka.
 — A ty? Co tu robisz?
 — Wypilem całą wodę z tego źródła, a teraz czekam, aż znów się napełni, gdyż jeszcze nie ugasiłem pragnienia.
 — Płyn ze mną, a będziesz miał co pić.
 I Wszystkopij — bo tak miał na imię mężczyzna o niegasnącym pragnieniu — wsiadł na statek.
 Niedługo później spotkali człowieka, który biegł chyżo niczym jelen, choć na nogach miał kamienie młyńskie.
 — Co ty robisz? — spytał go Serdecznik.
 — Chcę złapać zająca, który będzie tędy przebiegał — odpowiedział tamten.
 — I dlatego masz na nogach kamienie młyńskie, głupcze?
 — To dlatego, że biegam zbyt szybko. Nawet z tymi kamieniami wyprzedzam o kilka mil zająca, którego próbuję złapać.
 — To niesłychane! Chcesz popłynąć z nami statkiem?
 I niesamowity biegacz — a zwał się Prędkobiegacz — wsiadł na magiczny statek.
 O zmierzchu spotkali kolejnego mężczyznę, który trzymał w dłoni naprężony łuk i namierzał niewidoczny dla nich cel.
 — Co robisz, łuczniku? — spytał Serdecznik.
 — Celuję do tego zająca, którego widzę w oddali, na tamtej górze.
 — Stroisz sobie z nas żarty...
 W tym momencie łucznik wypuścił strzałę i powiedział:
 — Mam go! Trafilem! Ale stąd do tej góry będzie z siedem mil i boję się, że ktoś będzie tamtędy przechodził i zabierze moją zdobycz.
 — Szybko, Prędkobiegaczu! — rzekł Serdecznik. — Biegnij i zobacz, czy leży tam martwy zając, czy może napotkaliśmy zwykłego pyszałka!
 Prędkobiegacz pobiegł i w mgnieniu oka wrócił z zającem.
 — Jesteś niezrównanym łucznikiem! — powiedział Serdecznik do Bystrooka, gdyż tak mężczyzna miał na imię. — Dołącz do nas!
 Bystrook wszedł na pokład i statek ruszył w dalszą podróż.
 Niedługo potem spotkali mężczyznę, który leżąc przykładał ucho do ziemi.
 — Co robisz? — spytał go Serdecznik.
 — Wczoraj posiałem owies i słucham, jak rośnie...
 — Ale wrażliwy musisz mieć słuch! — rzekł Serdecznik. — Tęgosłuchu — (bo tak miał on na imię) — dołącz do nas! Sześciu takich towarzyszy przygody może dokonać wielkich rzeczy.
 Było ich zatem sześciu na cudownym statku: Serdecznik, Wszystkojad, Wszystkopij, Bystrook, Tęgosłuch, Prędkobiegacz. Statek ruszył w dalszą drogę, aż w końcu triumfalnie wpłynął do miasta, z jednej strony wzbudzając radość jego mieszkańców, z drugiej zaś wywołując ich zdumienie.
 Serdecznik zszedł ze statku i stanął przed obliczem króla.
 — Wasza wysokość, do usług. Twoja córka jest moja.
 Król z podziwem przyglądał się statkowi, jednak wzdragał się na myśl o oddaniu swej córki temu ubogiemu przybłądzie.
 — To za mało. Zanim pozwolę ci poślubić moją córkę, musisz przejść jeszcze inne próby...
 — Jestem gotów się ich podjąć.
 — A zatem do dzieła! — rzekł król. — Mam w swoich oborach pięćdziesiąt wołów, które ty lub któryś z twoich towarzyszy musicie zjeść w ciągu ośmiu dni.
 — Spróbujemy, wasza wysokość.
 Serdecznik powierzył to zadanie Wszystkojadowi i cztery dni później w oborach po wołach nie było ani śladu.
 Król był wyraźnie niepokieszony, gdyż i przegrał starcie, i stracił zwierzęta.

— To za mało! — rzekł do Serdecznika. — Posilek należy popić. Mam w swoich piwnicach pięćdziesiąt beczek skwaśniałego wina. Daję ci osiem dni, żebyś je wypił, ty lub któryś z twoich towarzyszy.

— Wszystkopiju, to jest zadanie dla ciebie.

W osiem dni piwnice były puste.

„Kimże jest ten młodzieniec i jego towarzysze?” — zastanawiał się zaniepokojony król, zupełnie nie wiedząc, jak sobie z nimi poradzić.

Zasięgnął rady jednego ze swoich ministrów, który rzekł mu tak:

— Wasza wysokość, masz przecież w swojej kuchni kucharza, który jest niedościgłym biegaczem. W pięć minut biegnie zacerpnąć wody do źródła oddalonego o dziesięć mil stąd i wraca z pełnymi bukłakami. Zaproponuj nieznajomemu przybyszowi, by obaj zmierzyli się w biegach.

Król kazał sprowadzić Serdecznika i zaproponował mu wyścig.

— Zrobi się! — odpowiedział młodzieniec, powierzając zadanie Prędkobiegaczowi.

Następnego dnia Prędkobiegacz i kucharz stanęli do wyścigu. Ani się kucharz nie obejrzał, a Prędkobiegacz był już przy źródle, wywołując tym samym zaciekle gniew swojego przeciwnika, który dotąd nie miał sobie równych. Gdy obaj napelnili już bukłaki i odpoczywali na trawie, kucharz — który znał się też na czarach — tak długo patrzył na Prędkobiegacza, aż uspił go wzrokiem, po czym położył mu na powiekach dwa zielone kamienie, aby się nie obudził, wziął pełne bukłaki i pośpieszył na zamek.

Jednak Tęgosłuch cały czas nasłuchiwał, przekazując swoim kompanom, co działo się w oddali.

— Tęgosłuchu, co oni robią? — spytał Serdecznik.

— Kucharz i Prędkobiegacz zdyszani usiedli przy źródle i rozmawiają. Prędkobiegacz zasnął i głośno chrapie. Kucharz ruszył biegiem do pałacu.

— Bystrooku, spójrz w dal i powiedz nam, co widzisz.

— Kucharz jest w połowie drogi, a Prędkobiegacz leży i śpi z dwoma kamieniami na oczach.

— Chwyć swój łuk — zarządził Serdecznik — i strąć z oczu Prędkobiegacza zczarowane kamienie. Tylko uważaj, by go przy tym nie zranić!

Niezrównany łucznik napiął cięciwę i strącił kamienie z powiek śpiącego towarzysza.

Ten zerwał się na równe nogi. Pochwycił bukłaki i ruszył z taką prędkością, że w mgnieniu oka dobiegł do pałacu przed kucharzem, wprawiając tym samym w zdumienie króla i wszystkich dworzan.

— Niech będzie! — rzekł pokonany król, a następnie zwrócił się do Serdecznika tymi słowami:

— Człowieka z twoimi zdolnościami wolę mieć za zięcia niż za wroga.

Kilka dni później odbył się piękny ślub. A towarzysze Serdecznika — Prędkobiegacz, Wszystkójad, Wszystkopij, Tęgosłuch i Bystrook — zostali ministrami.

Przekład — Olga Balana

LUCA I MARIO

Ta historia zaczyna się jak wiele innych opowieści o kominiarczykach. Jej bohater, Luca, urodził się w Banzau, w Królestwie Sabaudii. Nigdy nie poznał swojej matki, ojciec ponownie się ożenił i niedługo po tym zmarł. Chłopca wychowywała dalej macocha, góralka z Revy. Była to kobieta surowa i pomarszczona jak okoliczne góry, lodowata jak pokrywające je śniegi. Nikt chłopca nie kochał, nikt go też nie nienawdził, był jak zbląkany wróbelek, dorastał w samotności w usłanej zielonymi łąkami i jodłowymi lasami dolinie, w której rozbrzmiewał szum wodospadów i strumyków.

Kiedy chłopiec skończył dziewięć lat, macocha oddała go za parę monet pewnemu włóczędze, który wędrował po świecie z całą gromadą sierot. Luca wyruszył w drogę razem z nimi, nie żywił obaw, nie czuł niepokoju, był nawet szczęśliwy, że znalazł się oto

w gronie ludzi dzielących jego los. Po trzech dniach wędrowcy dotarli do dużego, nieznanego miasta.

Dla Luki zaczęło się życie w ciemnościach, czas żmudnej i niebezpiecznej pracy. Smukły, zwinny chłopiec to niknął w mrocznych kominach, to znów wspinał się z wyciągniętymi ku górze rękoma, jakby próbował wydostać się z ciemnej studni bez dna. Niekiedy, dusząc się od sadzy i opadając z sił, robił sobie przerwę na odpoczynek, słyszał wtedy dobiegający z dołu niecierpliwy głos swojego pana, który go popędzał, w górze zaś widział skrawek jasnego, błękitnego nieba. I wspinał się tak i wspinał, aż docierał na sam szczyt, wychodził potem na zewnątrz, a jego blond czupryna cała pokryta była sadzą. Zaczepywał wówczas świeżego, czystego powietrza i poprzez gąszcz kominów patrzył na odległe górskie wierzchołki.

Nie smucił się wcale. Doskwierała mu tęsknota, choć nie przyprawiała o cierpienie, nie tęsknił bowiem za ludźmi i uczuciem, ale za rzeczami. Pamięć podsuwała mu wówczas znajome obrazy: zaprzyjaźnioną stuletnią jodłę rosnącą nad stromym urwiskiem, tylko jemu wiadomy głąz o profilu kota, mieniącą się w kryształkach wody nad wodospadem tęczę, jasnozielone polany usłane kwiatami goryczki oraz ponurą zieleń jodeł ubranych w puszyste czapki śniegu.

Tęsknił, lecz nie był smutny, prawie wcale nie cierpiał. Myślał, że podobny los spotyka wszystkich; widocznie w życiu już tak jest, że się klepie biedę i wykonuje żmudną pracę w ciemnościach.

Jednocześnie widział, że rówieśnicy wiodą zupełnie inne życie. Mimo to w jego prostej, góralskiej duszy nie było miejsca na zazdrość ani na gorycz.

Luca zwykł siadać i odpoczywać zawsze na tej samej ławce. Znajdowała się na skraju okazałego ogrodu miejskiego, odwiedzanego zaraz po szkole przez rzeszę dzieci z dobrych rodzin pod opieką mam i nianiek. Pocięchy dokazywały na trawnikach i jazgotały jak ptaki, które uciekły z klatki. Luce brakowało odwagi, żeby przyłączyć się do ich zabaw. Gdy tylko próbował się zbliżyć, dzieci uciekały przerażone na widok jego czarnej od sadzy twarzy i pomiętej kurtki.

Pewnego dnia ogromna srebrno-niebieska piłka wyleciała z liściastego gąszczu i wbiła się w oparcie ławki. Luca wyciągnął ją i podał chłopcu, który właśnie przybiegł zdyszany i zaniepokojony. Był to niezwykle urody błękitnooki blondyn. W obawie, żeby się nie ubrudzić, dokładnie przyjrzał się piłce, sprawdzając, czy Luca nie zostawił na niej śladów węgla. Potem popatrzył na chłopca i się uśmiechnął:

— Dlaczego masz taką czarną twarz?

— Taką mam pracę...

— Nigdy jej nie myjesz?

— Od święta.

— A dlaczego nie codziennie?

— Bo i tak się ubrudzi...

Milczeli przez chwilę, po czym znów się do siebie uśmiechnęli.

— Jak się nazywasz?

— Luca.

— Luca, a co potem?

— Potem nic.

— Nie masz taty i mamy?

— Nie.

— Ja nazywam się Mario Defilippi i mam mamę i tatę... Tata nie mieszka z nami, bo nie kocha mamy. Ale odwiedza mnie czasami i przynosi mi słodycze.

Po tych słowach zamilkł. Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. Luca milczał zmieszany i uśmiechał się. Uśmiechnął się także Mario, po czym wziął piłkę i pobiegł do swoich kolegów.

To spotkanie wzbudziło w Luce szczerzy zachwyt i rozniecilo iskrę czułości wobec tego dobrze ubranego chłopca o blond włosach i różowej cerze, jakże odmiennego od niego samego.

Nazajutrz dostrzegł go w gronie kolegów. Wprawdzie nie odważył się podejść, ale przyglądał mu się z daleka. Miał nadzieję, że piłka znów polecą daleko, co pozwoliłoby im chwilę porozmawiać. Mario chyba jednak o nim nie pamiętał. Długo grał z kolegami,

potem usiadł przy niańce i spokojnie jadł kanapkę. Wreszcie w oddali rozpoznał kominiarczyka. Skoczył na równe nogi, podbiegł do chłopca i bez słowa, ale z uśmiechem na ustach podzielił się z nim swoim podwieczorkiem. Zaraz za nim przybiegł jego pies, potężny nowofundland.

— To twój pies? — zapytał Luca.

— Mój. Wabi się Fritz.

Od tamtego dnia Mario i Luca byli przyjaciółmi.

W życie obydwu — bogatego panicza i brudnego od sadzy chłopca z gór — wkradła się potrzeba wzajemnej czułości i bliżej nieokreślona sympatia. Luca nie mógł bawić się razem z kolegami Maria, a sam Mario nawet nie starał się ich przekonać, wiedział bowiem, że nic nie wskóra i że go wyśmieją. Ale przychodził czasem do kominiarczyka na pogawędkę, dzielił się z nim podwieczorkiem, opowiadał rozmaite historie. Był z natury swej gadatliwy, próbował więc nakłonić małomównego Lukę do rozmowy, zadając mu rozmaite pytania. Ktoś wreszcie odkrył w duszy Luki zakątek, o którego istnieniu nikt dotąd nie wiedział, i ogrzał ciepłem uczucia, ktoś poruszył w jego sercu wrażliwą strunę, której nikt jeszcze dotąd nie dotknął. Chłopiec był przeszczęśliwy.

Któregoś dnia Mario nie przyszedł wraz z kolegami do parku. Luca czekał na niego bezskutecznie także nazajutrz, a potem kolejnego dnia, lecz przyjaciel się nie pojawiał.

Luca przyglądał się kolorowej gromadce rozbieganych dzieci. Rozpoznał wśród nich wielu kolegów Maria, postanowił więc zapytać jednego z nich, który właśnie obok przebiegał, dlaczego Mario nie przychodzi, a w odpowiedzi usłyszał:

— Mario jest chory — odpowiedział tamten, mierząc do wzrokiem. — Ma błonicę — dodał, po czym zawstydzony, że ktoś go może zobaczyć w takim towarzystwie, pobiegł do swoich kolegów, wyśpiewując radosne trele.

Mario leżał chory w swoim eleganckim pokoju, z którego roztaczał się widok na przyległy do pałacu rodziny Defilippich park.

Siostra zakonna, dwóch lekarzy, zrozpaczona matka czuwali w ciszy u wezłowania łóżka. Słychać było niespokojny oddech chorego. Chłopiec majaczył, a matka pochylała się nad nim, próbując zrozumieć, co chce jej powiedzieć. Mówił o słońcu, kwiatkach, ptakach i zabawie.

— Luca, chcę zobaczyć Lukę — powiedział w pewnej chwili.

— Lukę? A kto to jest? — zapytała po cichu matka, która gotowa była spełnić każde życzenie chłopca.

Mario nie zrozumiał, nie odpowiedział.

— Chcę zobaczyć Lukę... nie myjcie mu twarzy... chcę go zobaczyć właśnie takiego czarnego...

— Ach! — rzekła matka i zwróciła się do zakonnicy:

— Chodzi o tego kominiarczyka, znam go.

Kazała sprowadzić niańkę, po czym wydała jej na ucho instrukcje. Niańka wzdrygnęła się, jakby chciała zaprotestować, lecz matka chłopca stanowczym szeptem potwierdziła polecenie.

Luca siedział na swojej ławce, miał podkurczone nogi, łokcie wsparte na kolanach, a podbródek na dłoniach. Od tygodnia nie widział swojego przyjaciela, czuł nieprzerwanie dojmujący ból w sercu.

Kobięcy głos wyrwał go z odrętwienia:

— Ty jesteś Luca, kominiarczyk?

— Tak.

— Pani Defilippi, matka Maria, prosi, żebyś przyszedł odwiedzić jej syna.

Luca nie poczuł się wcale onieśmielony, poszedł razem z kobietą do pałacu.

W pokoju chorego panowała atmosfera oczekiwania. Mario wciąż majaczył, nie mówił, lecz rzęził.

— Luca... moja piłka... chcę zobaczyć Lukę...

Mama pochylała się nad chorym, na jej twarzy malował się ból, z trudem powstrzymywała łzy i łkanie.

— Chcesz zobaczyć Lukę?

— Tak... tak — powiedział Mario, podrywając się na łóżku.

— Przyszedł do ciebie właśnie... — rzekła kobieta, po czym się odsunęła, a zza jej pleców wyłoniła się uśmiechnięta twarz kominiarczyka. Na ustach Maria wreszcie zagościł uśmiech, po raz pierwszy po wielu dniach. I po raz pierwszy wydawał się jakby bardziej wypoczęty.

Luca nie odstępował jego łóżka przez cały dzień. Jednak pod wieczór stan chorego chłopca się pogorszył. Doktor pokiwał głową zatroskany. Po utrzymującym się w ciągu dnia nastroju nadziei dom ponownie popadał w rozpacz.

Mario nie chciał, żeby Luca go opuścił choćby na chwilę. Luca spędził więc noc blisko chorego przyjaciela, a potem cały kolejny dzień i kolejną noc. Matka chłopca wysłała do opiekuna Luki bardzo szczerze wynagrodzenie, zatrudniając kominiarczyka, by pocieszał jej syna w ostatnich godzinach! Mario umierał! Koniec był blisko!

Minęły jeszcze jeden dzień i jedna noc.

O świcie Mario podniósł się na poduszce, objął ramieniem szyję Luki, przyciągnął go do siebie całą siłą i mocno uściskał. Potem poluzował uścisk i opadł bezwładnie. Spał, leżąc na wznak. Kominiarczyk nie rozumiał dobrze, co się dzieje. Zobaczył, jak matka chłopca wymachuje rękami, siłą odciągana przez służbę, usłyszał rozbrzmiewające w domu głosy rozpacz, drzwi otwierały się i zamykały na zmianę, jakby targane porywistym wiatrem.

Nie pojmował, co się stało. Nagle znalazł się na ulicy, w dłoni trzymał sakiewkę z monetami, poszedł w stronę parku, po czym usiadł na swojej ławce, podkurczając nogi, łokcie wsparł na kolanach, a podbródek na dłoniach.

— Nie zobaczysz Maria już nigdy więcej. Nie żyje! — powiedzieli mu.

Czuł w sercu dojmujący ból. Bolało go tak samo mocno, jak wtedy, gdy poparzył sobie rękę od płomienia w kominie.

Ale dobrze nie rozumiał, co się stało. Dwa dni później przyszła po niego niańka w żałobie i zaprowadziła go do domu jego przyjaciela. Matka Maria przywitała go ze łzami w oczach, mocno do siebie przytuliła, a następnie zaczęła mu się czule przyglądać. Luca nic nie mówił. Kazano mu ściągnąć jego kominiarski strój, urządzono mu kąpiel w marmurowej wannie z ciepłą, pachnącą wodą. Wyszedł z niej czyściuteńki, był znów tym samym jasnowłosym chłopcem, który żył sobie w dalekiej górskiej dolinie. Następnie odziano go w elegancki czarny garnitur przyozdobiony krepą.

— Będziesz nosił żałobę po biednym Mariu — powiedziała mu niańka. — Teraz ty jesteś Mario. Tak chce jego mama, teraz to twoja mama.

Luca uśmiechał się, wcale go to nie dziwiło, uważał to za naturalną kolej rzeczy.

Pojawiła się pani:

— Ależ on piękny! — powiedziała drżącym głosem. — Nawet jest do niego podobny... — przerwała i wybuchła szlochem, mocno przytulając do siebie chłopca.

Luca nie rozumiał dobrze, co się stało.

Przekład — Nastazja Leśniak i Monika Żurek



KLACZKA CZARNOKSIĘŻNIKA

Dawno temu żył sobie pewien owdowiały biedaczyna wraz z synem o imieniu Kandyd. Cały majątek mężczyzny stanowiła zagroda i trzy woły. Kandyd, chłopiec błyskotliwy i inteligentny, gdy tylko skończył osiem lat, zwrócił się do ojca w te słowa:

- Chciałbym pójść do szkoły...
- Nie stać mnie na to, moje dziecko!
- Ojcze, sprzedaj zatem jednego z wołów.

Po chwili namysłu ojciec postanowił postąpić zgodnie z radą syna. Sprzedał na targu jednego z wołów, a za otrzymane pieniądze posłał syna do szkoły.

Kandyd chłonął wiedzę bardzo szybko, wprawiając w zdumienie swoją inteligencją wszystkich nauczycieli.

Kiedy umiał już czytać i pisać, postanowił wyruszyć w świat ku przygodzie. Nałożył na siebie strój, który był biały z jednej strony, z drugiej zaś czarny, po czym poszedł. W drodze spotkał mężczyznę jadącego konno:

- Dokąd idziesz, mój chłopcze?
- Szukam pracy.
- A umiesz czytać?
- Umiem czytać i pisać.
- A więc nic mi po tobie — odparł mężczyzna, po czym ruszył w dalszą drogę.

Gdy tylko otrząsnął się ze zdumienia, zdjął ubranie i nałożył je tył na przód, po czym biegiem rzucił się przez pola, aż znów znalazł się na tej samej drodze twarzą w twarz z nieznanym podróżnym. A ten zupełnie go nie poznał.

— Dokąd idziesz, mój chłopcze?

— Szukam pracy.

— A umiesz czytać?

— Nie umiem ani czytać, ani pisać.

— Bardzo dobrze. Siadaj na koń, tuż za mną.

Kandyd wsiadł na konia nieznanego i po wielu dniach wędrówki dotarli do otoczonego ogromnymi murami zamku. Nikt nie wyszedł ich powitać. Znaleźli się na opustoszałym dziedzińcu, po czym mężczyzna zaprowadził swojego konia do stajni. Następnie rzekł do Kandyda:

— Nie uświadczysz tu żywej duszy, ale nie obawiaj się, będziesz miał wszystko, czego zapagniesz, oraz dostaniesz sowite wynagrodzenie.

— Co będzie należało do moich obowiązków, panie?

— Tylko opieka nad moimi końmi. Jeszcze dzisiaj muszę wyruszyć w długą podróż, nie wrócę wcześniej niż za rok i jeden dzień. Zamek powierzam w twoje ręce. Żegnaj!

Następnie baron — bo taki tytuł nosił właściciel zamku — odjechał.

Kandyd otaczał konie niezwykłą troską. Choć młodzieniec nigdy nie napotkał w zamku żywej duszy ani nie usłyszał żadnego ludzkiego głosu, cztery razy dziennie czekał na niego w ogromnej jadalni suto zastawiony stół. Jadł więc, pił i spacerował po komnatach i parku. Pewnego dnia między drzewami mignęła mu niebieska suknia. Była to prześliczna księżniczka uciekająca w stronę stajni.

Gdy Kandyd dogonił księżniczkę, ta spojrzała nań błagalnie i rzekła:

— Jestem jednym z koni pozostawionych pod twoją opieką, tym maści siwej jabłkowitej, trzecim na prawo od wejścia. Mój ojciec jest królem Korelandii, a baron czarno-księżnik zamienił mnie w konia, bo nie chciałam wyjść za niego za mąż... Jeżeli baron po swoim powrocie będzie zadowolony z twojej służby, pozwoli ci wybrać jednego z koni. Wtedy ty wybierzesz mnie, a zobaczysz, że nie pożałujesz.

Kandyd obiecał księżniczce pomoc, po czym zabrał się do czytania książek barona, z których nauczył się sekretów czarnej magii. Po roku baron powrócił na zamek.

— Jestem zadowolony z twojej służby, a ponieważ cały rok już minął, daję ci w nagrodę tę oto sakiewkę pełną złotych monet. Chodź ze mną do stajni, będziesz mógł sobie wybrać konia na drogę powrotną do twojej wioski.

Zeszli do stajni, gdzie po chwili udawanego wahania Kandyd wskazał na konia maści siwej jabłkowitej.

— Wybieram tego.

— Jak to? Tę szkapę? Widać, że nie znasz się na koniach. Spójrz tylko na te przepiękne rumaki, które stoją obok niej!

— Podoba mi się właśnie ta szkapa i nie chcę żadnego innego konia.

— Twój wybór — powiedział baron i pomyślał: „Spryciarz z niego! Zapewne poznał mój sekret, ale dopadnę go w połowie drogi!”.

Kandyd dosiadł swojej klaczki i odjechał. Gdy tylko znaleźli się poza zamkiem, ta przemieniła się z powrotem w księżniczkę.

— Dziękuję, mój przyjacielu. Wróć do swojego ojca, ja tymczasem wrócę na dwór Korelandii, gdzie ty przybędziesz za rok i jeden dzień — rzekła i zniknęła.

Kandyd ruszył w stronę swojej rodzinnej wioski. Po wielu dniach dotarł do chaty i rzucił się w objęcia ojca, który ledwo go poznał.

— Jesteśmy bogaci, ojczu, cieszymy się naszymi pieniędzmi!

I pokazał mu sakiewkę, po czym przez dwa dni świętowali, ciesząc się dobrobytem. Wszystko jednakże ma swój koniec, również ich mały majątek stopniał do ostatniego skuda.

— Synu, znowu jesteśmy nędzarzami!

— Nie martw się, ojczu! Jutro z samego rana pójdziemy na targ i sprzedamy przepięknego konia.

— Konia? Ale skąd ja ci wezmę konia?

— Moja w tym głowa, jutro rano będziesz miał konia i dostaniesz za niego trzysta skudów, ale pamiętaj, że wodze nie są na sprzedaż.

— Przecież wodze zawsze oddaje się wraz ze zwierzęciem — zauważył ojciec.

— Ale ty ich nie oddawaj, nie zapomnij o tym, w przeciwnym razie wystawisz mnie na ogromne niebezpieczeństwo.

— Niech będzie, przyniosę je z powrotem do domu, choć to niezgodne z obyczajem.

Następnego dnia ojciec usłyszał rzenie przed drzwiami, a gdy je otworzył, ujrzał przepięknego konia. Chciał pojechać na targ razem z synem, ale nie było po nim ani śladu:

„Zapewne jest już na miejscu” — pomyślał i ruszył w drogę. Po dotarciu do wioski nie spotkał swojego syna, za to od razu otoczyła go czereda kupców.

— Piękny koń. Ile za niego chcesz?

— Trzysta skudów, ale wodze są moje.

— Dam dwieście pięćdziesiąt.

— Nie zejść z ceny ani o pół skuda!

W pewnym momencie podszedł pewien kupiec o rudych włosach i ognistym spojrzeniu (był to baron w przebraniu) i złożył swoją ofertę:

— Drogi jest ten koń. Ale podoba mi się, więc zaniecham targów. Daj mi wodze, żebym miał go jak prowadzić.

— Nie oddam wodzy pod żadnym warunkiem.

— W takim razie nic z tego.

I nieznamy oddalił się, zlorzcząc.

Konia kupił w końcu pewien woźnica, który nie domagał się wodzy. Prowadził zwierzę, trzymając je za grzywę, po czym zamknął je w swojej stajni z innymi końmi. Jednak o świcie konia już tam nie było. Zamiast niego był Kandyd, który dzięki tajemnej wiedzy zdobytej z ksiąg czarnoksiężnika przemienił się najpierw w konia, a później na powrót w człowieka. Następnie wrócił do ojca i żyli razem szczęśliwie przez wiele dni, ciesząc się zarobionymi trzystoma skudami.

Kiedy już wszystko wydali, Kandyd powiedział:

— Nie mamy już więcej pieniędzy. Przemienię się znowu w konia, tym razem nie czarnego, tylko białego, a ty zaprowadzisz mnie na targ. Pamiętaj jednak, żeby nie oddawać nikomu wodzy, inaczej zginę marnie.

O świcie ojciec usłyszał rzenie na podwórzu i ujrzał przepięknego, białego jak śnieg konia. Chwył za wodze i zaprowadził go na targ.

Kupcy z miejsca otoczyli zwierzę. Z tłumu wyszedł mężczyzna o rudych włosach i ognistym spojrzeniu.

— Piękny koń. Ile za niego chcesz?

— Pięćset skudów.

— To o wiele za dużo. Ale zgadzam się. Tylko pozwól mi go najpierw wypróbować.

Baron niezwłocznie wskoczył na siodło, spiął konia ostrogami i pognął przed siebie, zostawiając ojca Kandyda bez konia i bez wodzy.

Baron pojechał wprost do kowala:

— Kowalu, mój koń nie jest podkuty. Potrzebuję natychmiast czterech podków po czterysta funtów każda!

— Czterysta funtów? Chyba żartujesz, panie?

— Nie żartuję. Rób, jak mówię, a dostaniesz sówitą zapłatę.

Podczas gdy baron i mężczyzna rozmawiali, koń stał przywiązany do obręczy w murze. Otoczyło go kilkoro dzieci, które wnet zaczęły mu dokucać.

— Odwiążcie mnie, moi mili!

— Koń, który mówi! — krzyknęły radośnie dzieci.

— A co mówi?

— Mówi, żeby go odwiązać.

— Tak, odwiążcie mnie, dzieci, a pokażę wam wspaniałą sztuczkę.

Najwyższy i najodważniejszy z całej gromadki odwiązał konia, który natychmiast przemienił się w zająca i pognął przez pole. Baron i kowal wyszli z kuźni.

— Gdzie jest mój koń? — zdumiał się baron.

— Zmienił się w zająca i uciekł — odpowiedziały dzieci.

Baron czarnoksiężnik przemienił się w psa i ruszył w ślad za nim.

Gdy już doganiał zającą, ten przemienił się w czaplę. Wówczas czarnoksiężnik wzbił się w powietrze pod postacią krogulca. Pościg zawiódł ich do stolicy Korelandii. Krogulec już prawie miał czaplę w swoich szponach, gdy ta nagle przemieniła się w pierścionek, opadając na palec księżniczki, która tęsknie wyglądała przez otwarte okno zamkowej komnaty.

Czarnoksiężnik powrócił do swojej ludzkiej postaci, po czym udał się do zamku i zaproponował pomoc cierpiącemu na nieuleczalną chorobę królowi.

— Obiecuję, że cię uzdrowię, wasza królewska mość, ale tylko pod jednym warunkiem.

— Proś, a spełnię każde twoje życzenie.

— Chcę złoty pierścionek, który ma na palcu twoja córka.

— Tylko tyle? Mogę dać ci dużo więcej!

— Nie pragnę niczego więcej, wasza wysokość.

Tymczasem księżniczka zamknęła już okno i właśnie zdejmowała pierścionki. Kiedy zsunęła z palca ten złoty, jej oczom ukazał się uśmiechnięty Kandyd.

— Och, to ty! Co tutaj robisz?

Kandyd opowiedział jej o swoich przygodach:

— Czarnoksiężnik znajduje się teraz w zamku, obiecał twojemu ojcu, że go uzdrowi w zamian za twój pierścionek. Zgódź się na to, lecz gdy będziesz wkładać pierścień na palec czarnoksiężnika, upuść go na ziemię, a wszystko dobrze się skończy.

Księżniczka obiecała tak właśnie postąpić.

Następnego dnia leciwy król posłał po swoją córkę, a kiedy ta zjawiała się w sali tronowej, przedstawił jej przebranego za lekarza czarnoksiężnika.

— Moja córko, ten sławny medyk obiecał przywrócić mi zdrowie, ale w zamian zażądał twojego złotego pierścionka.

— Zgadzą się — rzekła księżniczka i wykonała ruch, jakby chciała włożyć pierścionek na palec czarnoksiężnika, ale upuściła go na podłogę.

Pierścionek przemienił się w ziarnko bobu, a czarnoksiężnik w koguta, który już miał je połknąć, ale bób zmienił się w mgnięciu oka w lisa i pożarł koguta.

Następnie Kandyd wrócił do swej dawnej postaci na oczach zdumionego dworu.

Księżniczka przedstawiła ojcu swojego wybawiciela i jeszcze tego samego dnia wyprawiono wesele.

Przekład — Beata Bryk

TANIEC GNOMÓW

*Dawno temu, gdy świt był o zmroku,
a wróble ćwierkały w ludzkiej mowie,
gdy słońce zachodziło li tylko raz w roku,
snuto opowieść o pewnej wdowie...*

...która poślubiła pewnego wdowca. Oboje mieli córki z pierwszego małżeństwa. Córka wdowca miała na imię Serena, a córka wdowy Gordiana. Macocha nienawdziła Sereny, która była dobra i piękna, zrobiłaby zaś wszystko dla swojej Gordiany, choć ta była zła i brzydka.

Cała rodzina mieszkała w książęcym zamku, oddalonym o trzy mile od najbliższej wioski. Na wiodącej do zamku drodze, pośród tysiącletniego lasu bukowego, znajdowało się rozdroże. W księżycowe noce tańczyły tam w kółku psotliwe gnomy, które zamieszkiwały te okolice i straszłył przejeżdżających przez las podróżnych.

Macocha, która dobrze wiedziała o istnieniu tych figlarnych stworzeń, pewnego niedzielnego wieczoru rzekła do swej pasierbicy:

— Sereno, zostawiłam w kościele swoją książeczkę do nabożeństwa. Przynies mi ją.

— Mamo, przecież jest noc...

- Ale księżyc świeci jaśniej niż słońce!
- Mamo, boję się! Pójdę tam o świcie.
- Masz iść teraz! — nalegała macocha.
- Mamo, niech Gordiana idzie ze mną.
- Gordiana dotrzyma mi towarzystwa. Idź już!

Serena nic już więcej nie powiedziała i udała się w drogę. Gdy znalazła się w lesie, zwolniła kroku, mocno przyciskając do piersi szkaplerzyk.

W pewnym momencie zamajaczyło jej między drzewami rozświetlone księżycowym blaskiem rozdroże.

Pośrodku drogi tańczyły gnomy.

Serena schowała się za pniami drzew i z zapartym tchem obserwowała ich harce. Były to stworzenia garbate i kulawe niczym starcy, małe niczym dzieci, miały długie, rudawe brody, fikuśne, czerwono-zielone kubraczki i fantazyjne kapturki. Tańczyły w kręgu, śpiewając skrzekliwie przy wtórze nocnych ptaków. Na samą myśl, że będzie musiała obok nich przejść, dostała gęsiej skórki, jednak nie miała innego wyboru, wszak nie mogła wrócić do domu bez książeczki do nabożeństwa. W końcu się przemogła i ruszyła naprzód spokojnym krokiem.

Na jej widok gnomy się rozstały — te czerwone stanęły po jednej, te zielone po drugiej stronie drogi — zupełnie jakby chciały ją przepuścić. Gdy dziewczyna znalazła się już między nimi, zamknęły krąg i rozpoczęły taniec na nowo. A jeden ze stworów wręczył jej grzyb i kwiat paproci.

- Śliczna dziewczynko, zatańcz z nami!
- Z przyjemnością, jeśli to sprawi wam radość.

I Serena zatańczyła w blasku księżyca z takim wdziękiem, że gnomy aż oniemiały z zachwyty.

- Och! Cóż to za urocza dziewczynka! — rzekł pierwszy z nich.
- Niech stanie się jeszcze raz tak samo piękna i słodka! — powiedział drugi.
- Och! Cóż to za urocza dziewczynka! — zawtórował im trzeci.
- Niech stanie się jeszcze piękniejsza i jeszcze słodsza! — krzyknął czwarty.
- Niech wraz z każdym wypowiedianym przez nią słowem z jej lewego ucha wypadnie perła — rzekł piąty.
- A każda rzecz na jej życzenie niech zamieni się w złoto! — powiedział szósty.
- Niech tak się stanie! Niech tak się stanie! Niech tak się stanie! — skrzeczeli radośnie.

Chwycili się za ręce, podejmując swój zawrotny taniec. Potem rozpierzchli się nagle bez śladu, a Serena ruszyła przed siebie. Kiedy dotarła do wsi, musiała obudzić kościelnego, bo świątynia była już zamknięta.

Wraz z każdym wypowiedianym przez nią słowem z lewego ucha wydobywała się raz po raz drogocenna perła, odbijała się od jej ramienia i spadała na ziemię. Kościelny zaczął je zbierać. Serena wzięła książeczkę do nabożeństwa i wróciła do pałacu. Macocha przyglądała jej się zdumiona. Serena jaśniała bowiem niespotykanym pięknem:

- Czy nie spotkało cię w drodze żadne nieszczęście?
- Nie, matko — rzekła dziewczyna i opowiedziała macosze o całym zdarzeniu, a wraz z każdym wypowiedianym przez nią słowem z jej lewego ucha wypadła perła.

Macochę zżerała zazdrość.

— A co z moją książeczką do nabożeństwa? — zapytała.

— Proszę!

Zniszczona, skórzano-miedziana okładka książeczki przemieniła się w złoto wysadzane diamentami.

Macocha oniemiała.

Zapragnęła, żeby to samo spotkało jej córkę. W następną niedzielę o tej samej porze nakazała jej udać się do kościoła po książeczkę.

- Sama? Nocą? Mamo, czyżbyś oszalała? — rzekła Gordiana, wzruszając ramionami.
- Słuchaj się mnie, moja droga, a ręczę, że spotka cię wielkie szczęście.
- Sama sobie idź! — odparła Gordiana, która nie zwykła okazywać matce posłuszeństwa.

W końcu rodzicielka groźbą lania przekonała córkę, by udała się do wsi po książeczkę. Gdy Gordiana znalazła się na rozświetlonym księżycowym blaskiem rozdrożu, gnomy przerwały taniec i stanęły po obu stronach drogi, a gdy dziewczyna była już między nimi, wówczas zamknęły krąg. Jeden z gnomów wręczył jej grzyb i kwiat paproci, zapraszając do wspólnego tańca.

— Moimi partnerami do tańca są tylko książęta i baronowie, a nie takie paskudne ropuchy jak wy! — odparła opryskliwie Gordiana.

Wyrzuciła grzyb i kwiat paproci, po czym zaczęła bić pięściami i kopać na oślep, chcąc wydostać się z kręgu małych tancerzy.

— Cóż to za brzydkie i wredne dziewczysko! — powiedział pierwszy z gnomów.

— Niech stanie się dwa razy brzydsza i dwa razy wredniejsza niż jest! — rzekł drugi.

— Niech wyrośnie jej garb! — krzyknął trzeci.

— Niech zacznie kuleć! — odparł czwarty.

— Niech z każdym wypowiedianym przez nią słowem z jej ust wyjdzie skorpion! — powiedział piąty.

— I niech wszystko, czego się dotknie, pokryje się śliną! — rzekł szósty.

— Niech tak się stanie! Niech tak się stanie! Niech tak się stanie! — skrzeczeli rozgniewani.

Złapali się za ręce i zaczęli tańczyć, po czym przerwali krąg i zniknęli bez śladu.

Gordiana wrzuciła ramionami, udała się do kościoła, zabrała książeczkę do nabożeństwa i wróciła do pałacu.

Na jej widok matka wrzasnęła przeraźliwie:

— Gordiano, córko moja! Któż cię tak oszpecił?!

— Ty, bo wystawiasz mnie na takie niebezpieczeństwo!

I wraz z każdym wypowiedianym przez nią słowem z jej ust wychodził skorpion i schodził wzdłuż jej ciała.

Gordiana wyciągnęła z kieszeni książeczkę i podała ją matce, która natychmiast upuściła ją ze wstrętem na ziemię i krzyknęła:

— Co za obrzydlistwo! Cała się lepi od śliny!

Garbata, kulawa i jeszcze szpetniejsza córka napawała macochę prawdziwą rozpaczą. Zaprowadziła ją do swoich komnat i oddała w opiekę lekarzy, którzy nadaremno usiłowali ją wyleczyć.

Tymczasem rozeszła się pogłoska o olśniewającej urodzie i dobrym sercu Sereny. Zewsząd zaczęli przybywać do pałacu książęta i baronowie, jednakże okrutna macocha odmawiała wszystkim kandydatom jej ręki.

Król Persegonii nie dowierzał swoim posłańcom, zapragnął więc osobiście udać się do pałacu. Oczarowany pięknem Sereny poprosił od razu o jej rękę.

Na tę wieść w macosze aż żółć się zagotowała, ale ukloniła się przed królem z wdzięcznością. W jej głowie jednak zrodził się od razu nikczemny plan, by podstawić Gordianę zamiast Sereny. Ślub wyznaczono na następny tydzień. Nazajutrz król posłał Serenie w darze drogocenne kolczyki, naszyjniki i złote bransolety wysadzane diamentami.

Po pannę młodą przyjechał do pałacu orszak królewski. Macocha obwiesiła Gordianę kosztownościami, Serenę zaś zamknęła w cedrowej skrzyni.

Król wyszedł z pozłacanej karocy i uchylił drzwiczki, zapraszając oblubienicę do środka. Macocha zakryła uprzednio oblicze Gordiany gęstym welonem. Dziewczyna pozostawała jakby głucha na czule słowa oblubieńca.

— Dlaczego narzeczona się do mnie nie odzywa?

— Wasza wysokość, moja córka jest nieśmiała.

— Ale przecież wczoraj była tak rozmowna...

— Podniosłość dzisiejszego dnia odbiera jej mowę...

Król spoglądał na przyszłą małżonkę z uczuciem.

— Sereno, zdejmij welon, pozwól mi cię choć na chwilę zobaczyć.

— To niemożliwe, wasza wysokość — wtrąciła się macocha — panujący w karocy chłód jej zaszkośli. Odłoni lico zaraz po weselu.

Król począł się niepokoić.

Byli w drodze do kościoła, matka cieszyła się już, że jej chytry plan się powiedzie.

W pobliżu przepływał ruczaj, roztargniona i nierozważna Gordiana zapomniała się nagle i krzyknęła:

— Mamo, chce mi się pić!

Ledwie wypowiedziała tych pięć słów, a pięć czarnych skorpionów wyłoniło się spod welonu i zbiegło po jej białej sukni.

Król oraz ojciec Sereny podskoczyli z przerażenia i zerwali welon z głowy dziewczyny. Ujrzeni obrzydliwe i straszne oblicze Gordiany.

— Najjaśniejszy panie, te perfidne kobiety chciały nas oszukać!

Król kazał zatrzymać orszak, po czym wskoczył na koń i puścił się galopem do pałacu swojej narzeczonej.

Wbiegł po schodach na górę i jął się rozglądać po pokojach, głośno wołając:

— Sereno, Sereno! Gdzie jesteś?

— Tutaj, wasza wysokość!

— Gdzie?

— W cedrowej skrzyni!

Król podważył wieko mieczem i rozerwał zamknięcie. Z wnętrza wyskoczyła Serena, blada i piękna. Król wziął ją na ręce i pomógł jej dosiąść konia. Wrócili do miejsca, w którym zatrzymał się orszak. Serena zajęła w królewskim powozie należne miejsce między swym ojcem a oblubieńcem.

Wyprawiono huczne wesele.

A macocha wraz z okrutną córką uciekły do lasu i słuch o nich zaginął.

Przekład — Małgorzata Zych

PAS ZNIECIERPLIWIEŃ

*Gdy tydzień liczył aż cztery soboty,
a miesiąc się mieścił w godzinnej dobie,
gdy psy miauczały, a szczekały koty,
dawno temu, hen daleko żył sobie...*

...pewien ubogi mężczyzna, który miał dwóch synów — Kandyda i Placyda. Gdy Placyd skończył dwadzieścia lat, zapragnął wyruszyć w świat ku przygodzie. Po dziesięciodniowej wędrówce dotarł na skraj urwiska, nad którym wznosił się przepiękny zamek.

„Pójdę zapytać, czy jego właściciele nie potrzebują przypadkiem służącego” — pomyślał młodzieniec.

Zapukał do drzwi i zaoferował swoją służbę, po czym zaprowadzono go do barona.

— Służący? W samą porę! Dziś rano jeden odszedł ze służby, przydałby mi się ktoś, kto go zastąpi. Co potrafisz?

— To i owo, jaśnie panie.

— A zatem oto, co cię czeka: codziennie rano będziesz pracował na polach, łąkach i w ogrodzie. W południe będziesz wracał do domu i zajmował się moimi dziećmi, okazując pełne posłuszeństwo ich woli. Otrzymasz za to sto skudów rocznie, a rok upłynie, gdy kukułka po raz pierwszy zakuka.

— Czyli na wiosnę.

— Właśnie tak. Ale wiedz, że nie możesz się niecierpliwić, bo inaczej spotka cię sroga kara: zostaniesz od razu wygnany bez wynagrodzenia, a poza tym zedrę ci kawał skóry od karku po piętę, tak zwany pas zniecierpliwienia. Taka jest umowa.

— Zgoda! — odpowiedział Placyd. — A co, jeśli jaśnie pan się pierwszy zniecierpliwi?

— To wtedy ja będę miał zdarty na plecach pas zniecierpliwienia. Tyle tylko, że ja nigdy nie tracę cierpliwości.

— Umowa stoi!

Następnie baron zaprowadził Placyda do pokoju dla służby. Na ścianach wisiały setki pasów zdartych z pleców jego poprzedników.

„Czy naprawdę jest tak trudno tu wytrwać?” — pomyślał Placyd, zdejmując ubranie. Ułożył się do snu, ale materac był wypchany ziemniakami, w związku z czym nie zmrużył oka przez całą noc. O świcie wstał cały obolały.

— Jasnie panie, na moim łóżku nie da się spać.

— Musisz się przystosować. Wszyscy moi ludzie śpią na ziemniakach przeznaczonych na zasiew, ludzkie ciepło poprawia jakość bulwy.

Placyd milczał.

— Teraz idź kosić trawę na pastwisko. Zaprowadzi cię tam mój ulubiony, najwierniejszy pies, który zostanie potem z tobą aż do południa.

Placyd ruszył przed siebie prowadzony przez psa, a po dotarciu na miejsce od razu zabrał się do pracy. Kiedy zmorzyło go zmęczenie, postanowił położyć się na trawie i zapalić fajkę. Wówczas podbiegł do niego pies i groźnie wyszczerzył kły.

— Dobry pies, dobry pies! — powiedział Placyd i pogłaskał zwierzę. Jednak ten nie dał się wcale udobruchać i dalej warczał.

— Ty nieszczęsny psie! — wymamrotał młodzieniec, zmuszony pracować bez chwili wytchnienia.

W południe pies wstał i ruszył w drogę powrotną na zamek, a Placyd, mocno zrezygnowany, poszedł w ślad za nim. Na obiad podano mu zupę z czarnego chleba. Jeszcze nie wziął pierwszego kęsa do ust, a dzieci zaczęły krzyczeć.

— Placydzie — rzekł do niego baron — zabierz je na spacer.

Placyd przerwał posiłek i wyszedł z małymi urwisami. Po powrocie nie zastał już niczego do jedzenia.

— Gdzie jest moja zupa? — zapytał nieśmiało.

— Twoją zupę zjadł pies. Czyżbyś się niecierpliwił?

— Skądże! Post mi dobrze robi. Zresztą już wiele razy pościłem.

Następnie, wciąż pilnowany przez psa, wrócił do pracy na pastwisko. A wieczorem hałasująca gawiedź znów przerwała mu posiłek.

— Zabierz je na spacer! — rozkazał baron.

— Po jedzeniu.

— Nie, natychmiast!

Placyd zabrał więc dzieci na spacer, a kiedy wrócił z burczącym brzuchem, okazało się, że zupę zjadł pies.

— Baronie, jeśli ktoś pracuje od rana do wieczora, to ma prawo się najeść! Moja zupa zniknęła!

— Twoja strata, chłopcze — odparł baron.

Placyd po raz pierwszy się niecierpliwił.

— Przecież tak się nie da żyć!

— Czyżbyś się niecierpliwił?

— Każdy by się niecierpliwił!

— Skoro tak, to umowa przestaje obowiązywać i nadszedł czas zedrzeć z ciebie pas zniecierpliwienia!

Na dany przez barona znak czterej mężczyźni rzucili się na biednego Placyda, rozebrali go, po czym położyli na stole i zdarli z niego pas skóry od karku po pięty.

Następnie wypędzono go z zamku przy wtórze śmiechów samego barona, jego małżonki i upartych dzieci.

Młodzieniec wrócił do domu rodzinnego smutny i obolały.

Kandyd, na wieść o przykrych przygodach brata, zapragnął podjąć się tego wyzwania i wyjść z niego zwycięsko.

Wyruszył w drogę, dotarł do zamku i zaciągnął się na tych samych warunkach na służbę u barona. Zgodził się pracować całe dni, słuchać dzieci zawsze i wszędzie, spać na łóżku wypchany ziemniakami, a także mieć zdartą skórę przy pierwszym proteście, za pięć skudów wynagrodzenia rocznie, rok zaś skończyłby się wraz z pierwszym kukaniem kukulki.

Pies zaprowadził go na pastwisko. Po godzinie pracy młodzieniec chciał odpocząć na trawie, lecz pies wyszczerzył kły.

— Wcale a wcale mi się nie podobasz! — powiedział Kandyd i przywiązał psi łeb do gałęzi dębu. Potem zapalił sobie fajkę, a w południe wrócił na zamek.

— A co z psem?
 — Powiesiłem go na drzewie.
 Baron zzieleniał ze złości.
 — Zabijeś mojego ulubionego psa! Ty niegodziwcze!
 — Czyżby jaśnie pan się niecierpliwił?
 — Ależ skąd! — odparł baron, który uświadomił sobie, że umowa jest przecież obustronna, wobec czego z miejsca złagodził swą złość.
 Kandyd ledwo zdążył usiąść przy stole, gdy dzieci zaczęły wrzeszczeć.
 — Weź je na spacer! — rozkazał baron.
 — Najpierw zjem — odpowiedział młodzieniec ze spokojem.
 — Ktoś się musi z nimi pobawić.
 — W takim razie pobawimy się z nimi — odparł, po czym chlusnął wodą z miski w kapryśne nicponie.
 Przemoknięte do suchej nitki darły się wniebogłosy.
 — Coś ty zrobił, niegodziwcze? Przez ciebie się rozchorują.
 — Czyżby jaśnie pan się niecierpliwił?
 Baron przypomniał sobie warunki umowy i z miejsca stłumił w sobie gniew.
 — Nigdy w życiu, jestem z natury bardzo łagodny, ale na przyszłość bądź ostrożniejszy!

Baron i baronowa byli coraz bardziej rozdrażnieni, bo nie wiedzieli, jak się pozbyć młodzieńca. Zdawali sobie sprawę, że w przeciwieństwie do swojego naiwnego brata Kandyd nie da się tak łatwo okiełznać.

Baronowa chciała, żeby baron jak najszybciej zwolnił go ze służby.
 — W takim razie trzeba mu dać sto skudów, bo ani kukulka jeszcze nie zakukała, ani wiosna jeszcze nie nadeszła.
 — Kukulką ja się zajmę, już ja się postaram, żeby zaśpiewała — rzekła baronowa.
 — Co za szkoda — powiedziała córka, która zdążyła bardzo polubić Kandyda i smutno jej się zrobiło na myśl, że będzie musiał odejść.

Nazajutrz rano, gdy młodzieniec obudził się w swoim łóżku wypełnionym ziemniakami, usłyszał kukanie kukulki siedzącej na dębie rosnącym tuż przy oknie, chociaż na żółtawych gałęziach drzewa wciąż sterczały suche liście.
 — Ku-ku! Ku-ku!
 — Jak to możliwe?! Czyżby kukulki w tym roku zwiastowały wiosnę wcześniej niż zwykle? Zaraz strząsnę z gałęzi to dziwne ptaszysko.
 Przeciął materac, wysypał z jego wnętrza ziemniaki, po czym zaczął nimi rzucać w kierunku starego dębu.
 — Ku-Ku!, Ku... Nie! Przestań! Litości! To ja! Baronowa!
 Po chwili kobieta zeszła pośpiesznie po gałęziach; żałowała, że zachciało jej się podszycić pod ptaka zwiastującego nadejście wiosny.
 Na widok posiniaczonej i obolałej małżonki schodzącej z drzewa baron krzyknął wściekły do Kandyda:
 — Nikczemniku! Wyoś się natychmiast z mojego domu!
 — Jaśnie pan się zniecierpliwił czy tylko mi się wydaje?
 — Chciałbym zobaczyć tego, który by się nie zniecierpliwił!
 — W takim razie należy mi się sto skudów, a także mam prawo zedrzeć z twoich pleców pas zniecierpliwienia.
 Barona przeszedł dreszcz.
 — Wszystko, tylko nie to!
 — Ustąpię, ale pod warunkiem, że w zamian dostanę rękę twojej córki.
 Baron i baronowa przez chwilę się wahali, jednak widząc uśmiech na twarzy córki, ostatecznie wyrazili zgodę.
 Tym sposobem Kandyd zdobył rękę córki barona, a przy okazji zamek i lenno. Zaprzestano barbarzyńskiej kary zdzierania pasów z pleców. Do naszych czasów przetrwało tylko znane powiedzenie o tych, którzy tracą cierpliwość: „Już był taki jeden, któremu zdarli pas zniecierpliwienia”.



ZŁOTOPIÓRCIA I CIĘŻKOŁÓW

I

Złotopiórcia była sierotą i mieszkała ze swoim dziadkiem w leśnym szałasie. Dziadek był węglarzem, ona zaś pomagała mu zbierać wiązki chrustu i przygotowywać opał. Dziewczynka była bardzo lubiana przez swoje rówieśniczki i staruszki zamieszkujące okoliczne chaty. Była również bardzo urodziwa, piękna niczym królowa.

Pewnego wiosennego dnia na rosnących pod jej oknem goździkach przysiadł biały motyl, dziewczynka zaś schwytała go w dłonie.

— Nie rób mi krzywdy, proszę! — rzekł motyl, a Złotopiórcia go wypuściła.

— Dziękuję, drogie dziecko. Jak ci na imię?

— Złotopiórcia.

— A ja jestem Niestrzep Głogowiec. Lecę złożyć jajeczka daleko stąd. Być może któregoś dnia odwdzięczę ci się — odparł motyl, po czym odfrunął.

Następnego dnia Złotopiórcia ujrzała pośrodku polnej drogi niesiony wiatrem bielutki puszek. I już go miała w dłoni, już ją miała zacisnąć, gdy nagle usłyszała:

— Nie rób mi krzywdy, proszę! — rzekł jedwabisty puszek, a Złotopiórcia spełniła jego prośbę. — Dziękuję, drogie dziecko. Jak ci na imię?

— Złotopiórcia.

— A ja jestem Nielupka Ostu. Lecę zasiać swoje nasiona daleko stąd. Być może któregoś dnia odwdzięczę ci się — odrzekł puszek i odleciał pognany wiatrem.

Następnego dnia Złotopiórcia schwytała w kielichu róży szmaragdowego skarabeusza.
— Nie rób mi krzywdy, proszę! — rzekł skarabeusz, a Złotopiórcia spełniła jego prośbę.

— Dziękuję, drogie dziecko. Jak ci na imię?

— Złotopiórcia.

— A ja jestem Kruszczyca Złotawka. Szukam róż z dalekich stron. Być może któregoś dnia odwdzięczę ci się — rzekła Kruszczyca i odleciała.

II

Gdy Złotopiórcia skończyła czternaście lat, wydarzyła się rzecz bardzo osobliwa. Zaczęła oto tracić na wadze.

Choć niezmiennie była tą samą piękną, jasnowłosą dziewczynką, to z dnia na dzień stawała się coraz lżejsza.

Z początku wcale się tym nie przejmowała. Ogromnej radości dostarczało jej ześlizgiwanie się po gałęziach wysokich drzew i swobodne opadanie w dół niczym wiotka kartka papieru. Podśpiewywała sobie przy tym:

Piękna Złotopiórcia, choć chyba jeszcze tego nie wiecie,
wkrótce zostanie królową, więc ogłoście to w świecie.

Stała się z czasem tak lekka, że dziadek musiał obciążyć jej sukienkę czterema dużymi kamieniami, żeby przypadkiem dziewczynki nie porwał wiatr. Po niedługim czasie jednak kamienie już nie wystarczały i dziadek musiał zamknąć ją w domu.

— Złotopiórciu, drogie dziecko, ktoś musiał rzucić na ciebie urok!

Staruszek wdychał strapiiony, Złotopiórcia zaś nudziła się w zamknięciu.

— Dmuchnij na mnie! — jęła prosić dziadka.

Dziadek spełniał wówczas jej prośbę i wypychał ją siłą podmuchów ku górze. Ona zaś to opadała, to wzbijała się w powietrze, leciutka jak piórko.

Piękna Złotopiórcia, choć chyba jeszcze tego nie wiecie,
wkrótce zostanie królową, więc ogłoście to w świecie.

— Dmuchnij na mnie, dziadku!

I staruszek dmuchał mocno, a Złotopiórcia wznosiła się z lekkością aż po sam sufit.

Piękna Złotopiórcia, choć chyba jeszcze tego nie wiecie,
wkrótce zostanie królową, więc ogłoście to w świecie.

— Złotopiórciu, co śpiewasz?

— To nie ja. To cudzy głos we mnie śpiewa.

Złotopiórcia wiedziała, że przemawia przez nią jakiś przyjemny dla ucha, pochodzący z oddali głos.

Staruszek wciąż dmuchał i wdychał:

— Złotopiórciu, moje biedne dziecko, przecież ktoś rzucił na ciebie urok!

III

Pewnego ranka Złotopiórcia obudziła się jeszcze lżejsza i bardziej znudzona niż zwykle.

— Dmuchnij na mnie! — prosiła dziadka.

Jednakże staruszek nie odpowiadał. Kiedy dziewczynka zbliżyła się do łóżka dziadka, okazało się, że już nie żył.

Wybuchła płaczem. Płakała przez trzy dni i trzy noce. O świcie czwartego dnia postanowiła zwołać ludzi. Ledwo uchyliła drzwi, porwał ją wiatr i powiódł wysoko do góry, niczym bańkę mydlaną...

Złotopiórcia krzyknęła, po czym zamknęła oczy.

Wzięła się jednak na odwagę i przez opadającą na oczy gęstą czuprynę spojrzała w dół: leciała na wysokości przyprowadzającej o zawrót głowy.

Pod nią zieleniły się rozległe pola, srebrzyły się rzeki, ujrzała ciemne puszcze, miasta, baszty i klasztory, które przypominały dziecięce zabawki.

Wystraszona Złotopiórcia zamknęła oczy, otuliła się kołdrą swoich bujnych, rozpuszczonych włosów, dając się nieść przed siebie.

— Odwagi, Złotopiórciu! — usłyszała nagle jakiś głos.

Otworzyła oczy i zobaczyła lecących tuż obok Nistrzępa Głogowca, Kruszczycę Złotawkę i Nielupkę Ostu.

— Wiatr niesie nas razem z tobą, Złotopiórciu. Będziemy ci towarzyszyć w podróży i pomagać.

— Dziękuję, drodzy przyjaciele! — powiedziała podniesiona na duchu Złotopiórcia.

Piękna Złotopiórcia, choć chyba jeszcze tego nie wiecie,
wkrótce zostanie królową, więc ogłoście to w świecie.

— Czyj to głos słyszę w uszach od dłuższego już czasu?

— Dowiesz się wieczorem, Złotopiórciu, gdy dotrzemy do Wróżki Młodości.

Złotopiórcia, Nistrzęp Głogowiec, Kruszczyca Złotawka i Nielupka Ostu podróżowali dalej niesieni wiatrem.

IV

Pod wieczór dotarli do Wróżki Młodości. Dostali się do środka przez otwarte okna.

Dobra Wróżka przyjęła ich niezwykle życzliwie. Chwyliła Złotopiórcię za rękę, przeszły razem przez przestronne komnaty i niekończące się korytarze, po czym Wróżka wyciągnęła ze złotego kufra okrągłe zwierciadło.

— Spójrz! — rzekła Wróżka Młodości.

Złotopiórcia spojrzała w zwierciadło. Ujrzała w nim cudowny ogród, który porastały palmy, tropikalne drzewa i nieznanne jej zupełnie dotąd kwiaty.

Pośród ogrodu zobaczyła ubranego w królewskie szaty młodzieńca niezwyklej urody, który stał na złotym wozie ciągniętym przez pięćset par wołów i śpiewał:

Piękna Złotopiórcia, choć chyba jeszcze tego nie wiecie,
wkrótce zostanie królową, więc ogłoście to w świecie.

— To Ciężkołów, Młody Władca Wysp Szczęśliwych — rzekła Wróżka Młodości. — To on śpiewa dźwięczącą w twoich uszach od dłuższego czasu piosenkę. Padł ofiarą uroku przeciwnego niż ten, który dotknął ciebie. Z mozołem ciągnie go pięćset par wołów. Staje się coraz cięższy. Wasz pierwszy pocałunek go odczaruje.

Po chwili obraz rozproszył się w powietrzu, a dobra Wróżka dała Złotopiórci trzy ziarna zboża.

— Zanim dotrzesz na Wyspy Szczęśliwe, przeleciśz niesiona wiatrem nad trzema zamkami. W każdym z nich ukaże ci się zła wróżka, która groźbą bądź pokusą będzie się starała cię usidlić. Za każdym razem strącisz na ziemię jedno ziarno.

Złotopiórcia podziękowała Wróżce, wyleciała przez okno ze swoimi towarzyszami podróży i niesiona wiatrem powędrowała dalej.

V

Wieczorem oczom całej drużyny ukazał się pierwszy zamek. Ujrzeni stojącą na wieży kolorową wróżkę, która skinęła ręką na Złotopiórcię. Zwabiona tajemną siłą Złotopiórcia zaczęła zbliżać się do ziemi. Ujrzała swoje przyjaciółki i staruszki zamieszkujące lasy w rodzinnych stronach, zobaczyła też dziadka, który machał jej na powitanie.

Jednakże Kruszczyca Złotawka przypomniała Złotopiórci o ostrzeżeniu Wróżki Młodości i dziewczynka upuściła ziarno zboża. Uśmiechnięte postaci w mgnieniu oka przeobraziły się w złowrogie biesy i wiedźmy, których głowy wieńczyły korony uplecione z syczących węży.

Złotopiórcia wraz ze swoimi towarzyszami wzniosła się w powietrze i wnet pojęła, że to był Zamek Kłamstwa, a upuszczone na ziemię ziarno było Ziarnkiem Ostrożności.

Udali się razem w dalszą podróż, która trwała dwa dni. Wieczorem zamajaczył im w oddali drugi zamek.

Był to zamek w kolorze żółci, w brunatne pręgi. Na wieży wiła się w napadzie wściekłości Zielona Wróżka. Na blankach i na dziedzińcu stał posępny tłum, złowrogo witając przybyszów.

Złotopiórcia, zwabiona tajemną siłą, zniżała stopniowo lot. Przeżona upuściła drugie ziarno. Gdy tylko dotknęło ono ziemi, zamek błyskawicznie zamienił się w złoto, na ustach Wróżki i ludzi zaś pojawił się uśmiech, a z ich twarzy biła szczerza życzliwość. Witali Złotopiórcię, wyciągając ręce w jej kierunku. Ona zaś, niesiona wiatrem, wyruszyła w dalszą podróż. Zrozumiała, że było to Ziarno Dobroci.

Minęły kolejne dwa dni podróży, aż w końcu ujrzała w oddali trzeci zamek. Był to cudowny zamek cały ze złota, intarsjowany kamieniami szlachetnymi.

Na wieżach pojawiła się Błękitna Wróżka, kiwając dobrotliwie w kierunku Złotopiórci.

Zwabiona niewidzialną siłą Złotopiórcia zaczęła zniżyć lot, aż usłyszała nakładające się na siebie odgłosy śmiechu, śpiewu i muzyki. W przestronnych ogrodach ujrzała damy dworu i lśniących rycerzy, którzy bawili się w tańcu bądź na karuzeli, oglądali przedstawienia i raczyli się poczęstunkiem na bankietach.

Omamiona tym blaskiem Złotopiórcia już miała wylądować, ale Kruszczyca Złotawka przypomniała jej o przestrodze Wróżki Młodości. Wówczas Złotopiórcia — mimo że z wyraźną niechęcią — upuściła trzecie ziarno.

Gdy tylko ziarenko spadło na ziemię, zamek przeobraził się w jaskinię, Błękitna Wróżka w szkaradną wiedźmę, damy i rycerze zaś w odzianych w lachmany żebraków, którzy zrozpaczeni rozpierzchli się, szukając schronienia w zaroślach i za kamieniami. Złotopiórcia, wzbijając się wysoko w powietrze, zrozumiała, że to był Zamek Ułudy i że upuszczone ziarno było Ziarnkiem Mądrości.

Niesiona wiatrem kontynuowała swą podróż.

Niestrzęp Głogowiec, Kruszczyca Złotawka i Niełupka Ostu niezmiennie dotrzymywały jej towarzystwa. Za ich namową przyłączali się do nich ich ziomkowie, tworząc z czasem okazały orszak malowniczych motyli, obłok białych puszystych niełupek i błyszczącą falangę szmaragdowych kruszczyc złotawek.

Długo jeszcze podróżowali, aż w końcu dotarli na sam skraj lądu. Złotopiórcia spojrzała w dół i zobaczyła bezkresną, błękitną równinę. To było morze.

Wiatr ustał. Złotopiórcia zleciała do morza, aż musnęła czupryną spienione fale. Krzyknęła przestraszona. Jednakże w mgnieniu oka nadleciało dziesięć tysięcy motyli i tyleż samo kruszczyc złotawek, które uniosły ją do góry, trzepocząc swoimi małymi skrzydełkami.

Podróż trwała siedem dni.

O świcie dnia ósmego na horyzoncie zamajaczyły złote minarety i strzeliste palmy Wysp Szczęśliwych.

VI

Władze Królestwa były zrozpaczone.

Królewicz Ciężkołów zapadł się pod swoim ciężarem w sali Walnego Zgromadzenia. I stał zanurzony do pasa w pokrywającej podłogę mozaice. Błękitnooki i jasnowłosy Ciężkołów, ubrany w czerwony welur, był piękny jak młody bóg, lecz rzucony nań urok z dnia na dzień coraz bardziej go pogrążał.

Młodzieniec ważył już tyle, że brakowało w całym królestwie wołów, które mogłyby go przesunąć choćby o jeden cal.

Medycy, wróżki, chiromanci, czarnoksiężnicy, alchemicy na próżno przyjechali na dwór, nikomu z nich nie udało się zdjąć z młodzieńca uroku.

Piękna Złotopiórcia, choć chyba jeszcze tego nie wiecie,
wkrótce zostanie królową, więc ogłoście to w świecie.

A Ciężkołów coraz to bardziej się zapadał, niczym mózdzierz z brązu na piaszczystej plaży.

Zgodnie z tym, co wyczytał jeden z jasnowidzów, tylko sprzyjający układ gwiazd mógł przywrócić królewiczowi zdrowie, a bez tegoż wszelkie czynnione zabiegi na nic się zdały.

Królowa więc co rusz podbiegała do okna i wołała do czuwającego na wieży astrologa.

— Mistrzu Szymonie, co też widzisz w oddali?

— Nic, wasza wysokość... Widzę naszą flotę, która powraca z Ziemi Świętej.

Ciężkołów coraz to bardziej zapadał się w ziemi.

— Mistrzu Szymonie, co teraz widzisz?

— Nic takiego, wasza wysokość... Widzę powracające z ciepłych krajów czaple.

— Mistrzu Szymonie, co teraz widzisz?

— Nic, wasza wysokość... Widzę galerę wenecką z ładunkiem kości słoniowej.

Król, Królowa, ministrowie i dworskie damy byli przerażeni.

Z ziemi wystawała już sama głowa. Ciężkołów zapadał się coraz bardziej, śpiewając przy tym:

Piękna Złotopiórcia, choć chyba jeszcze tego nie wiecie,
wkrótce zostanie królową, więc ogłoście to w świecie.

W pewnym momencie do uszu zgromadzonych na królewskim dworze dobiegł głos mistrza Szymona:

— Wasza królewska mość! Pędząca kometa na horyzoncie! Lśniąca gwiazda w samo południe!

Mieszkańcy królewskiego dworu nie zdążyli podbiec do okna, gdy to otwarło się z impetem jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i Złotopiórcia wraz ze swoim orszakiem ukazała się oczom zgromadzonych, wprawiając wszystkich w ogromne zdumienie. Puszyste niełupki uszyły dla niej suknię ślubną, motyle ozdobiły ją klejnotami. Dziesięć tysięcy kruszczyk złotych, przeobraziwszy się w dziesięć tysięcy szmaragdowych paziów, utworzyło szpaler dla młodej, pięknej jak bogini dziewczyny, która z uśmiechem przeszła środkiem sali.

Gdy tylko dziewczyna złożyła na jego ustach swój pierwszy pocałunek, Ciężkołów otrząsnął się niczym ze snu, po czym uwolniony od jarzma uroku skoczył na równe nogi ku uciesze całego rozradowanego dworu.

Wyprawiono huczne przyjęcie. Osiem dni później Złotopiórcia, córka węglarza, stanęła na ślubnym kobiercu z Królewiczem Wysp Szczęśliwych.

Przekład — Marcin Wyrembelski

KRÓLEWICZ WSPAK

I

Zaledwie trzy dni pozostały do osiemnastych urodzin królewicza Sansonetta. Zgodnie z obowiązującym w królestwie prawem wiek ten pozwalał na ożenek. Młodzieniec stał na balkonie pałacu, niecierpliwie, ale i radośnie wyczekując chwili, w której poślubi Biancabellę, księżniczkę Pamerii. Była mu bowiem obiecana już od najmłodszych lat. Dla zabicia czasu Sansonetto jadł chereśnie, po czym strzelał z procy pestkami w przechodniów, którzy w pierwszej chwili kierowali w jego stronę rozniewane spojrzenia, lecz gdy tylko rozpoznawali, kim jest ów żartowniś, pokornie mu się kłaniali. Królewicz śmiał się, a dworzanie wraz z nim. Gdy pod pałacem przechodziła pewna siwowłosa staruszka o dużym, purpurowym nosie, królewicz zaczął z niej głośno drwić:

— Wielki nochal! Wielki nochal!

Następnie trafił ją pestką w nos. Starowinka potarła obolałe nosisko, pochyliła się z drżeniem, podniosła pestkę, ujęła ją w kciuk i palec wskazujący, po czym odrzuciła w kierunku następcy tronu. Oburzeni dworzanie wysłali za staruszką stu strażników, lecz ona zniknęła za rogiem ulicy i ślad po niej zaginął. Po dotknięciu pestki Sansonetto zachwiał się, jakby zakręciło mu się w głowie. Potem zaczął chichotać, zasłaniając uszy dłońmi. Dworzanie wpatrywali się w niego z trwogą i niepokojem:

— Czy dobrze się czujesz, królewiczu?
— Czuję... Czuję...
Śmiał się i śmiał, a śmiech odbierał mu mowę.
— Czy dobrze się czujesz, królewiczu?
— Czuję... czuję, że czas płynie wstecz! Zabawne! Co za dziwne uczucie!
Niebawem uznano, że królewicz postradał zmysły. Gdy tylko zaczynał chodzić, wszyscy wybuchali śmiechem, bowiem chodził wspak.
— Królewiczu, co to ma znaczyć?
— To znaczy... że nie mogę już chodzić naprzód!
Nie przestawał się śmiać, i ilekroć próbował zrobić krok do przodu, jakaś siła kazała mu postąpić krok do tyłu, cofał się niczym rak. Później zasłaniał uszy i zamykał oczy, jakby miał zawroty głowy.
— Czas płynie wstecz! Ale dziwne uczucie, moi mili, to doprawdy zabawne!
Dworzanie śmiali się, a on razem z nimi.
Wszyscy uznali, że postradał zmysły.

II

Ale zmysłów nie postradał. Najznamienitsi lekarze z całego królestwa uznali, że Sansonetto staje się coraz młodszy.

Nikt nie potrafił wyjaśnić powodu tej przypadłości, nauka była wobec niej zupełnie bezradna. Królewicz stawał się młodszy i młodszy. Skończył siedemnaście, potem szesnaście, aż w końcu piętnaście lat. Z dnia na dzień zaczął maleć, zniknął jego jasny wąs, który dopiero co mu się sypnął. Miał coraz to bardziej chłopięce oblicze. Sansonetto był zrozpaczony.

Najpierw przesunięto datę zaślubin, aż w końcu je odwołano. Król Pamerii cofnął zgodę na zamążpójście córki.

— Mój chłopcze, jakże w tej sytuacji mogę ci oddać rękę Biancabelli? Za kilka lat będziesz mężem-dzieckiem, następnie dzieckiem-niemowlęciem, później się narodzisz, to znaczy umrzesz... i znikniesz na zawsze.

I Biancabella musiała zwrócić królewiczowi pierścionek zaręczynowy. W chwili pożegnania dziewczyna wybuchła płaczem i przyrzekła Sansonettowi wierność na wieki.

— Będę na ciebie czekała, aż wyzdrowiejesz. Weź ten pierścionek i noś go. Kiedy ktoś zagrozi naszej miłości, poczujesz ucisk na palcu.

III

Sansonetto był zrozpaczony, biegł wstecz po komnatach i ogrodach królewskich, wyrrywając sobie jasne włosy. Należało zrobić wszystko, żeby odszukać wydrwioną staruszkę i błagać ją o wyleczenie królewicza z tej choroby. Król i królowa wyznaczyli nagrodę — pół królestwa dla tego, kto wskaże, gdzie przebywa wieszczka, która rzuciła urok na ich syna. Wszelki słuch jednak po niej zaginął.

Nie chcąc wciąż myśleć o swoim nieszczęściu, królewicz często udawał się na polowania. Galopował wstecz, gdyż klątwa dotykała także rumaka, którego dosiadał.

Na widok tego gnającego wstecz rycerza mijani po drodze chłopci czynili znak krzyża, aby odpędzić diabelskie moce.

Pewnego dnia królewicz zapuścił się w las i ujrzał pośród wiekowych drzew małą chatkę z jednym tylko oknem. Stała w nim znajoma staruszka i przyglądała mu się z uśmiechem. Sansonetto padł na kolana i zaczął ją błagać:

— Ach! Babciu! Babciu! Przywróć czasowi właściwy bieg, proszę. Chciałbym znów chodzić do przodu.

— Musisz przynieść mi tamtą pestkę!

— Odnajdę ją i przyniosę!

Sansonetto wrócił do pałacu. Lecz jak tu odnaleźć taki drobiazg sprzed czterech lat? Wziął pierwszą lepszą pestkę i zaniósł ją staruszce do lasu. Kobiecina wyglądała przez okno swej chatki.

— Mój drogi, to nie ta! Na tamtej były wyryte słowa, które tylko ja znam...

Królewicz pojął wnet, że nic nie wskóra szalbierstwem, wrócił do pałacu, pożegnał się z rodzicami i wyruszył na poszukiwania magicznej pestki.

Przypomniawszy sobie — choć mgliste to było wspomnienie — że pestka wpadła do płynącego wzdłuż ulicy strumyczka. Szedł aż do miejsca, w którym wpływał on do potoku. Stał i przygnębiony patrzył na spienioną wodę. Nad jego głową zatrzymała się ważka, mieniając się szmaragdowym blaskiem.

— Cóż ci jest, dziecko?

Nazwała go dzieckiem! Ależ on szybko mała! Sansonetto westchnął:

— A to mi jest, że jestem coraz młodszy!

— To jeszcze nic złego!

— A właśnie, że złego! Za kilka lat będę oseskiem, później się narodzę, aż zniknę zupełnie. Może mnie ocalić jedynie pestka Nochatej Wieszczy! Widziałaś może gdzieś tę pestkę?

— Widzieć nie widziałam, ale słyszałam, jak o niej rozmawiali. Dziwna pestka, na której wyryto zagadkowe słowa... zniknęła w rzece, która porwała ją swoim nurtem do morza.

Sansonetto podążał wzdłuż potoku aż do rzeki, a potem wzdłuż rzeki do morza. Gdy ujrzał przed sobą ten błękitny bezkres, stracił wszelką nadzieję, że uda mu się odnaleźć pestkę. Usiadł na plaży i płakał, patrząc na pieniające się fale, a łzy spadały do morza.

— Cóż ci jest, dziecko? — usłyszał nagle.

Była to rozgwiazda, która powoli poruszała się po złocistym piasku.

— A to mi jest, że jestem coraz młodszy.

— To jeszcze nic złego!

— A właśnie, że złego. Narodzę się, czyli zniknę zupełnie, jeśli nie odnajdę pestki Nochatej Wieszczy.

— Tej bardzo dziwnej pestki z wyrytymi słowami, których nie pamiętam... Widziałam ją kilka lat temu. Połknął ją jeden zaprzyjaźniony flaming. Zaczekaj, zawołam go.

Królewicz czekał trzy dni, aż w końcu ujrzał długonogiego, biało-różowego ptaka.

— Tak, to ja połknąłem tę pestkę. Potem odleciałem na południe i zostawiłem ją w ogrodzie dzikiego, niezwyčajonego wielkoluda Marsilia, w górzystej Sorii. Pokonać go może jedynie ten, kto wyrwie zielony włos z jego rudej czupryny.

Królewicz zaciągnął się na statek kupiecki, a po siedmiu tygodniach podróży dopłynął do Sorii. Kiedy pytał o olbrzyma, ludzie przyglądali mu się ze zdumieniem i bledli.

— Wielkolud nikogo nie wpuszcza na swoje włości. Każdego dnia zabija dziesiątki odważnych rycerzy, którzy postanawiają się z nim zmierzyć.

— Ja również chcę stawić mu czoła. Pokonam go, jeśli taki los jest mi pisany.

I królewicz Sansonetto udał się w dalszą drogę, aż dotarł do królestwa olbrzyma Marsilia.

Nad doliną górował Zamek Stu Wież, pod nim zaś rozciągały się wspaniałe ogrody otoczone wysokimi murami, a wokół bieliły się kości śmiałków, którzy próbowali pokonać potwora.

Sansonetto zadał w róg, wyzywając olbrzyma na pojedynek.

Otworzyły się potężne wrota, zza których wyłonił się półnagi, nieuzbrojony przeciwnik.

Na widok królewicza wielkolud wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu.

Młodzieniec rzucił się na olbrzyma, wymachując ostrym mieczem; ciął ramiona, ręce, nos, podbródek, ale nieprzyjaciel schylał się, podnosił z ziemi odcięte części ciała i przytwierdzał je na miejsce jakby nigdy nic.

Sansonetto celował w jego głowę, podskakując na swoim narowistym rumaku. Dwa razy prawie mu się powiodło, lecz tak za pierwszym, jak i za drugim razem potwór schylił się, podniósł głowę i osadził ją na potężnych ramionach. W końcu królewiczowi się poszczęściło i ściał olbrzymowi łeb. Zeskoczył prędko na ziemię, by pchnąć go na skraj zbocza i stoczyć w dół doliny. Zaczął gorączkowo szukać zielonego włosa w rudej czuprynie. Za plecami słyszał biegnącego po omacku wielkoluda. Potwór był coraz bliżej, a chłopiec nie mógł znaleźć śmiertelnego włosa. Dobył miecza i kilkoma ciosami ściał całą czuprynę wraz z zielonym włosem. Głowa potwora zbieleła, oczy uciekły z wyrazem przerażenia w głąb czaszki i olbrzym z głuchym łomotem padł jak długi na ziemię. Był już martwy.

IV

Od tej pory Sansonetto mógł swobodnie przemierzać królestwo wielkoluda Marsilia. Szukał pestki w ogrodach, w końcu odnalazł miejsce wskazane przez flaminga.

Od tamtej chwili upłynęło jednak pięć lat i z pestki wyrosła potężna czereśnia, obfitująca w bordowe, błyszczące niczym rubiny owoce.

Sansonetto zjadł jeden z nich, później następny i następny. Przyglądał się wszystkim pestkom, a każda z nich nosiła napis: „ziarno zuchwalstwa”.

Nagle królewicz poczuł jakby zawroty głowy i zmrużył oczy.

Przebudził się już przed chatką Nochatej Wieszczyki, która stała w oknie i się uśmiechała.

Zauważył nagle, że był znów sobą, jak w dzień przed planowanym ślubem, jego ciało wróciło do niegdysiejszej postaci — odzyskał wzrost młodzieńca i delikatny, jasny wąs. Postąpił kilka kroków i okazało się, że znów chodzi do przodu, a nie wstak.

— Odkupiłeś swoje winy — powiedziała staruszka. — Zachowaj pestki drzewa, które cię ocaliło i zasadź je w twoich ogrodach.

— Dziękuję, babciu!

Królewicz ucałował na pożegnanie dobrą wieszczkę. Nagle poczuł, że zaczyna go uciskać na palcu pierścionek ofiarowany przez Biancabellę.

— Och! Nasza miłość jest zagrożona!

— Odwagi, chłopcze, szykuj się do walki i biegnij czym prędzej na dwór. Możesz liczyć na moją pomoc.

Uzbrojony od stóp do głów Sansonetto ruszył w drogę galopem.

Czuł, jak pierścionek zaciska się na jego palcu coraz bardziej.

— Pewnie miała już dość tego czekania... Obym tylko zdążył na czas!

Dotarł do Pamerii, przystrojonej flagami jak na wielką uroczystość. Zapytał ludzi, na czyją cześć to święto.

— Tydzień temu w pałacu królewskim rozpoczął się turniej. Król postanowił, że jego córka musi wyjść za mąż. Stu rycerzy toczy bój o rękę Biancabelli. Jeden ze śmiazków, nikomu nieznanym, wygrywa po kolei z wszystkimi uczestnikami turnieju. I wszystko na to wskazuje, że zanim zajdzie słońce, pokona on swoich ostatnich rywali.

Sansonetto pobiegł na turniej i usiadł wśród widzów. Tajemniczy rycerz, odziany w szkarlatną zbroję, wyrzucił właśnie z siodła ostatniego konkurenta, a tłum zaczął witać go na jego cześć. Wówczas Sansonetto opuścił przyłbicę i ku zdumieniu zebranych przystąpił do walki. Wystarczył pierwszy cios, a niezwyknięty rycerz runął na ziemię.

Po otwarciu stłuczonej zbroi okazało się, że w środku nie ma żadnego rycerza. Była to pusta zbroja, w którą wieszczka tchnęła dobrego ducha i posłała na turniej. Nieistniejący rycerz miał powstrzymać pozostałych konkurentów i pozwolić królewiczowi dotrzeć na czas. Sansonetto podniósł przyłbicę i pokłonił się wybrance. Biancabella niemalże zasłabła z nieoczekiwanego szczęścia, a król przytulił ulezonego młodzieńca niczym syna.

Przyszedł czas na huczne wesele.

A z posadzonych w królewskich ogrodach magicznych pestek z biegiem lat wyrosły drzewa, które utworzyły tak zwany „Gaj Zuchwalstwa”.

Przekład — Emilia Górnioczek

OSTATNI KSIĄŻĘ

Na samym końcu wiodącej przez las ścieżki, na tle zasnutego ciemnymi chmurami nieba, wznosił się nad stromym urwiskiem osiemnastowieczny zamek. Wiódł w nim swój osobliwy żywot ostatni książę San Fiorino. Osierocony i samotny, dwanaście smutnych lat życia spędził na nauce retoryki i zasad etykiety pod okiem srogich wychowawców i dworzaków, którzy pilnowali go niczym więźnia w złotej klatce. Naprawdę można to nazwać złotą klatką, przebogaty zamek otaczały bowiem urokliwe, zalesione wzgórza, obfitujące

w wodę i dziką zwierzynę. Wszystko dookoła promieniowało świetnością starego arystokratycznego rodu.

Ostatniego dziedzica zewsząd otaczał książęcy przepych jego przodków. Jednakże młody książę wcale nie wydawał się szczęśliwy. Zmuszony przesiadywać godzinami w okazałej pałacowej bibliotece, w której pobierał nauki od swoich surowych nauczycieli gnębiących go teoriami Platona i Ptolemeusza, pochylał swoją jasną czuprynę nad opasłymi tomami, a niekiedy pogrążony w myślach wodził wzrokiem za nietoperzem krążącym pośród regałów pod mrocznym sklepieniem lub wpatrywał się w wielki globus, podróżując wyobraźnią po najodleglejszych zakątkach świata.

Z jednakowym smutkiem książę uczestniczył w lekcjach tańca i etykiety. W pełnych przepychu salonach zdobnych w lustra, złota, jedwab i sztukaterie wszystkie damy dworu i rycerze bacznie obserwowali małego księcia pobierającego lekcje tańca od dwóch zabawnych mistrzów dworskiej etykiety. Nie sprawiały mu również radości konne przejażdżki po parku ani polowania, albowiem gdziekolwiek tylko się udawał, podążał za nim cały orszak pilnujących go rycerzy. I zawsze czegoś mu brakowało. Brakowało mu wolności.

Pewnego dnia książę postanowił uciec ze złotej klatki. Wstał z łóżka przed świtem, przywdział swoje najpiękniejsze aksamitne i jedwabne szaty, założył najbardziej drogocenne klejnoty, wsiadł na koń i pognął przed siebie. Minął ogrody i park, aż dotarł do leżącego na granicy książęcych posiadłości jeziora. Przystanął na chwilę zamyślony, niepewny swojej dalszej drogi. Przy brzegu dostrzegł łódź, a w niej jakiegoś człowieka. Poprosił, żeby ten przeprowadził go na drugą stronę.

Starzec przystał na jego prośbę. Kiedy znaleźli się już na przeciwległym brzegu, książę wyskoczył z łódki na ląd i dał mężczyźnie w podzięcie swój najcenniejszy pierścień. Ta szczodrość aż odebrała staruszkowi mowę. Następnie książę ruszył dalej przed siebie i wędrował cały długi dzień. Pod wieczór znalazł schronienie w jakiejś lichej gospodzie. Widok małego dżentelmena w kapeluszu z piórami wzbudził szczere zdziwienie karczmarza i karczmarki. Młody książę nie wiedział, czym jest pieniądz ani czym jest wartość rzeczy. Miał na sobie wszystkie swoje klejnoty, ale puste kieszenie. Za nocleg w gospodzie zapłacił właścicielom szmaragdowym pierścieniem. Wyruszył w dalszą drogę. W końcu porozdawał wszystkie pierścienie. Pozbył się także aksamitnego, wyszywanego złotą nicią surduta. Następnie oddał też swój kapelusz z piórami i buty z brylantowymi sprzączkami.

Był zmęczony i kulał. Zaczęło do niego docierać, że złota klatka była miejscem idealnym, że świat okazał się inny od tego, jaki widział oczyma swojej wyobraźni.

Pod wieczór zabłądził w gąszczy stuletnich drzew, paproci, wrzosów i ostrokrzewu. Zapewne były to posiadłości ziemskie jakiegoś szlachcica, na co wskazywał chociażby czerwony pał z czarnym napisem zakazującym polowania. Księcia zmogło zmęczenie, przysiadł więc, żeby podziwiać, jak ostatnie promienie słoneczne łaskoczą liście paproci. Nagle coś zaszeleściło i mignął mu przed oczami kłusownik. Mężczyzna rzucił w kierunku księcia dwa martwe bażanty i wielką żelazną pułapkę z powyginanymi zębami. Młodzieniec chwycił oba piękne, lśniące, dorodne ptaki i spojrzął z przerażeniem na śmiercionośne narzędzie. Jeszcze nie zdążył otrząsnąć się z zaskoczenia, gdy ogłuszony przeraźliwym krzykiem padł powalony na ziemię. Złapał go gajowy, przekonany, że w końcu znalazł kłusownika, który od dłuższego czasu pustoszył okoliczne tereny i pozbawiał je zwierzyny:

— Mam cię, ty łobuzie! Teraz dostaniesz za swoje!

Młodzieniec aż zadrżał z oburzenia, słowa tej obelgi obudziły w nim odziedziczone po przodkach pokłady książęcej dumy i rzekł:

— Zaszła pomyłka! Jestem księciem San Fiorino.

Gajowy wybuchł gromkim śmiechem, wszak trudno mu było uwierzyć, że stojący przed nim boso, bez okrycia głowy i w porwanych na strzępy spodniach chłopak może być księciem!

— Spryciarz z ciebie, a taki młody! Ale chyba nie sądzisz, że uwierzę w takie koszałki-opalki?

Gajowy złapał księcia jedną ręką, a drugą chwycił potrzask i bażanty, po czym triumfalnie wszedł na podwórze gospodarstwa.

Na podwórzu zebrała się gromada kobiet.

— Od dawna szukałem tego łobuza! Udało mi się go wreszcie złapać na gorącym uczynku!

— Ale on mały! — wykrzyknęły kobiety.

— Taki mały, a taki przebiegły!

— Nie jestem żadnym kłusownikiem! — krzyknął książę, po czym dumnie prężąc swoją drobną pierś, dodał: — Jestem księciem San Fiorino.

Jego słowa wywołały gromki śmiech zebranych. Gajowy złapał księcia za rękę, otworzył drzwi kurnika i wepchnął go do środka, zostawiając go tam samego na noc pośród wielobarwnego stadka kur, indyków, gęsi i perliczek. Młodzieniec szlochał przez długi czas, zakrywając dłońmi twarz, aż w końcu zasnął.

Nad ranem wyciągnięto go z kurnika i zaprowadzono siłą przed oblicze markiza, właściciela okolicznych posiadłości. Markiz był dżentelmenem w podeszłym wieku, o dobrotliwym i pobłażliwym uśmiechu. Przebywał akurat w swoim gabinecie, kiedy przyszedł gajowy, trzymając w rękach dowód zbrodni.

— Oto ukatrupione bażanty i ich oprawca! Kto by pomyślał, że ten mały łobuz mógł się dopuścić takiego czynu!

I gajowy pchnął przed oblicze markiza kuśtykającego, zmizerniałego i obdartego księcia.

— Jaśnie panie, przysięgam na wszystko, co dla mnie najświętsze, że nie jestem kłusownikiem. Jestem księciem San Fiorino!

Markiz aż podskoczył na swoim krześle:

— Książę San Fiorino? Czyżby ten, którego wszyscy szukają w okolicy od paru dni? Gajowy, ty głupcze!

Przegnawszy gajowego, markiz pomógł oszołomionemu księciu wstać, po czym nakazał służbie, by się nim należycie zaopiekowała i przyodziała go.

Do zamku księcia natychmiast wyruszył posłaniec. Moment wolności młodego uciekiniera dobiegał końca.

Smutny i zamyślony książę spacerował po tarasie markiza, czekając na przyjaciół, którzy mieli po niego przybyć i na powrót zabrać do złotej klatki.

— O czym myślisz, książę? — zapytał go markiz.

— Myślę, że jestem niczym, myślę, że tylko ze względu na mój tytuł i moje pieniądze świat jest dla mnie dobry. Oto, co się dzieje, gdy nie ma się ani jednego, ani drugiego...

— Drogie dziecko — odpowiedział markiz — przychodzi dzień, w którym nawet królowie zostają pozbawieni całego swojego majątku. W tym dniu liczy się wyłącznie to, czego dokonali, a nie to, kim byli.

Książę zamyślił się przez chwilę, a następnie rzekł:

— W takim razie postaram się czegoś dokonać...

— Życzę ci tego z całego serca, drogie dziecko!

I stary białowłosy człowiek czule pogłaskał jasną głowę ostatniego księcia.

Przekład — Sara De Gaetano

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest udostępniony na licencji **Licencja Wolnej Sztuki 1.3**.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/srebrna-zajeczycza-i-inne-basnie>

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Okładka i ilustracje: Adam Kolański.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Marcin Wyrembelski, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0243-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.